

*Buchananka  
Marion*

# AMERYKANIN.

POWIEŚĆ Z CZASÓW KOŚCIUSZKI

NAPISAL

WŁ. K. WÓJCICKI.

Wszystko się dziwnie plecie  
Na tym tu biednym świecie;  
A koby chciał rozumem wszystkiego dochodzić  
I zginie, a nie będzie uniał w to ugodzić.

Jan Kochanowski.



III

KRAKÓW.  
CZCIONKAMI Drukarni Jagiellońskiej  
pod zarządem L. K. Górskiego.

1900.

KSIEGOCZBIOT  
w 68  
DZANOWSKICH

MUZEU  
K. Konin  
Winłory  
Nr inw. 612



---

DODATEK POWIEŚCIOWY DO „NOWEJ REFORMY“

## I.

### **Rok 1791.**

Miasto Międzybórz w województwie podolskim, powiecie latyczowskim położone, nie tylko słynęło wspomnieniami historycznymi z bardzo odległych wieków, ale i zamożnością mieszkańców, licznymi zabudowaniami, przemysłem i handlem, obok pięknego położenia i dziwnie powabnych okolic. Położone przy zbiegu rzeki Bożka do Bohu, wzięło stąd swe nazwisko. Gleba rodzajna, podolska hojny plon dawała, a puszcze i lasy ciemniały w oddali i zamykały cudny krajobraz.

Międzybórz w chwili naszej opowieści w roku 1791 liczył do tysiąca domów, pomiędzy którymi było wiele kamienic murowanych i piętrowych: zdobił go w rynku ratusz i fara gotyckiej budowy. Miasto wraz z okolicznymi włościami należało wówczas do księcia Adama Czartoryskiego, generała ziem podolskich.

Stary, murowany zamek stał zachowany w całości, lubo o jego mury rozbijały się nieraz chmury

pogaństwa. Mikołaj Sieniawski, wojewoda ruski i hetman, którego Międzybórz był własnością, umocniwszy ten zamek, wytrzymał oblężenie od Tatarów. Daremnie tłumy zajadłe liczne szturmury przypuszczały, za każdym odparte, słały drogę trupami. Widząc niemożność zdobycia tego grodu, w nocy opuściły swe leże. W roku 1615 szczupła załoga musiała patrzeć z rozpaczą, jak nowy, srogi najazd Tatarów ogniem i mieczem pustoszył żyzne okolice Podola, jak z dymem puszczał zamożne osady, a brańców wraz z trzodami pędził swobodnie na swoje stepy. Mały zastęp rycerstwa z murów zamku, który strzegł i bronił, z załzawionemi oczyma pooglądał na dym pożogi ojczystej ziemi, słyszał płacz i jęki nieszczęśliwych zarówno szlachty i kmieci, gnanych pletnią wraz z żonami i dziećmi w pogański jasyr.

W roku 1657 Międzybórz był świadkiem radosnego widowiska, tu bowiem dościgniony przez Stefana Czarnieckiego i Jerzego Lubomirskiego niecny najeźdźca Jerzy Rakoczy, ksiązę siedmiogrodzki, mając 30.000 wojska i 27 dział, broń złożył i podane wszystkie warunki przyjął.

Od kilkunastu dni Międzybórz nowem zawrzał życiem; nadciągnęła bowiem dywizya generała Kościuszki, niedawno przybyłego z Ameryki i rozłożyła się na leże w samym mieście i okolicach. Gwar, nieznany cichemu dotąd grodowi, napełniał od wschodu niemal słońca rynek, ulice i przyległe pola: jeźdźcy harcowali na dzielnych koniach, piechota spieszyła na poranne mustry, a wszyscy wracali ochoczo, weseli, z radosną piosnką do kwater

swoich. Była to wiosna w pełnym rozkwicie, bo w drugiej połowie maja, a wiosna ciepła, pełna balsamicznej woni z rozmaitych drzew i kwiecica. Międzybórz wyglądał jak wielki ogród, bo przy każdym domku, przed każdym gankiem najskromniejszego dworku szumiały lipy, brzozy i wierzby, a w małych sadach i ogródkach bielily się śnieżnym kwiatem pokryte grusze, wiśnie i jabłonie. Co rano równo z poranną zorzą gęsta mgła to z Bożka, to z Bohu, chmurą bałwaniąc się, nasiadała miasto i powoli to opadała w gęstych kroplach, to ulatniała się parą za pierwszym promieniem słońca. Lekko było każdej piersi, co oddychała tak świeżem powietrzem, przesiąknięm wonią kwiatów, pąków drzew i tym zapachem ziemi orzeźwiający, jaki wydaje ta matka nasza, gdy łono jej pruje lemieszem dłoń pracowita rolnika wiosną czy jesienią, gdy zaczyna się zielenić młodym plonem niedawno rzuconego ziarna.

Z wiosną też każdego roku powiększała się ludność Międzyborza przybyłymi z dalekich nawet okolic gośćmi. Ściągał ich gromady jeden człowiek, sławny doktor Stakenszmitt, Niemiec rodem, który osiadł stale w tem mieście i ogromną miał praktykę. Wyuczywszy się języka polskiego, jakkolwiek zarywał z niemiecka, mógł się płynnie już i zrozumiale rozmówić, co więcej wabiło do niego szlachtę. Od wielu lat tu osiadły, wybudował sobie dom, na pochyłym wybrzeżu rzeki, gdzie pozostało jeszcze kilkadziesiąt starodrzewów. Stanowiły one gaj gęsty; w pośród nich bielił się murowany skromny domek doktora z facyatą i gankiem. Z obu skrzydeł

tego dworu były kwiatowe ogródki, w których hodował troskliwie wiele ziół lekarskich, jakich sam używał i przyrządzał je u siebie, bo zwyczajem przyjętym miał podręczną apteczkę w domu, z której udzielał lekarstw i wezwany w okolicę, zabierał z sobą potrzebne preparaty. Był to człowiek już sędziwy, liczył bowiem do 60 lat z górą. Siwizna lekko popruszyła mu głowę, a wbrew ówczesnemu zwyczajowi nie nosił peruki, ani harbejtla, ani krótkich spodni i trzewików, ale strzygł włosy krótko, buty zawdziewał z długimi cholewami, ubierał się w surdut dostatni, a czasem we frak piaskowego koloru, z dużymi metalowymi guzikami. Do niego wtedy używał długiej atłasowej bronzowej kamizelki, suto haftowanej. Wzrostu średniego, wdzięcznego i czerstwego oblicza, zachował w całej postaci ruchy pełne życia i rzeźwość młodzieńczą. Domek jego, jakkolwiek szczupły na pozór, wewnątrz był rozległy. Składał się z ośmiu obszernych pokoi. Nadto przy wjeździe stały dwie oficyny, nie mniej obszerne, które zajmowali ciągle chorzy przyjezdni. Teraz doktor Stakenszmitt zajęty był ukończeniem nowego domu dla chorych swoich, który wystawił od ulicy; o piętrze z gankiem. Jakóż w ciągu dni kilku był gotowy zupełnie na przyjęcie spodziewanych gości.

Niedługo też zajechała poszóstna staroświecka karetą, za nią we trzy konie brodzka kryta bryka a za niemi dwie fury ładowne sianem, słomą i owsem, oraz furgon pakowny z kucharzem i ze służbą. Naprzeciwko nowego domu doktora Stakenszmitta, po drugiej stronie ulicy z obszernym ogrodem stał

dwór drewniany z wystającym staropolskim gan-kiem, na którym siedziało kilku młodych oficerów, palących fajki i zajętych rozmową.

Dwór ten był kwaterą generała Kościuszki i jego sztabu. Siedział właśnie w swej sypialnej komnacie nad rozłożoną mapą Polski, zatopiony w głębokiej zadumie, której nie przerwał mu na- wet głośny śmiech oficerów na ganku. Zajęci po- gawędką, niespodzianie usłyszawszy zawieszysty trzask bicia, spojrzeli na ulicę i ujrzeni poszóstną karetę: na wysokim koźle starego furmana, a na przedniej parze koni pachołka zwinnego, jak za- wracał na podwórze nowego domu doktora.

— A cóż to za arka Noego! — zawołał rot- mistrz Zaremba, wskazując na karetę, toczącą się zwolna. Pamięta przynajmniej czasy króla Sobka!

— Patrz, patrz Józefie! — krzyknął porucznik fizylerów — a toć to cały tabor ciągnie się za nią!

Karol Kniaziewicz, który wyszedłszy z kor- pusy kadetów jako bombardyer, świeżo awanso- wany na oficera do pułku fizylerów, był w sztabie generała Kościuszki, zaczął się śmiać wraz z innymi coraz więcej, gdy młody kadet Józef Raciborski, stanąwszy na ławie ganku, począł wyliczać osoby i sprzęty wychodzące z ogromnego pojazdu.

— Koledzy, uwaga! — zawołał — piszcie i ra- chujcie! Oto najprzód wyskoczyła z arki Noego panna służąca, zgrabna sarenka: teraz wychodzi poważniejsza dama, może marcowa panna, bo ma podwiązaną twarz szafranową chusteczką, a wszy- stkie stare panny mają słabość do tego koloru.

Ale się mylę, to nie marczak, jeszcze pełna życia i powabu, Teraz... cóż ja widzę? — i umilkł.

Kniaziewicz zniecierpliwiony wyskoczył na ławkę i wykrzyknawszy: Aa! aa! także umilkł.

Nadbiegły w tę chwilę adjutant Kwaśniewski, stanąwszy przy nim, rozkrzyżował ręce i zawołał:

— Aa! aa! Jak Boga kocham! Aa!

Rotmistrz Zaremba, pokręcając sumiastego wąsa i patrząc na nich, jak się z zachwyceniem wpatrują w jakiś przedmiot, splunąwszy, rzekł gniewnie:

— A cóż tam do milion sześćkroć sto tysięcy batalionów i szwadronów dyabłów widzicie, a nic nie gadacie. Stoją jak czaple z wyciągniętą szyją, otworzyli gębę jak gawrony, a mileżą jak zakłęci.

— Żebym sto tysięcy dyabłów połknął szklanke wody się napił, jeżeli w życiu piękniejszą widziałem! — woła Raciborski.

— To Wenus prawdziwa! — mówił Kniaziewicz, wzdychając.

— To Pokusa! — mówił Kwaśniewski, a kładąc rękę na ramiona Kniaziewicza, dodał — pluń na marę! bo to czarownica!

Niecierpliwy rotmistrz Zaremba ściągnął z ławki Raciborskiego, a ujrzawszy uroczą postać młodej dziewczicy, co stała przy drzwiach karety, zawołał:

— Aa! Aa! do regimentu dyabłów, prawda, że śliczna pokusa!

Raciborski, wskoczywszy na drugą ławkę, mówi:

— Koledzy, baczność! uwaga! Śliczna Wenus stoi.... teraz mama dobrodziejka wydobywa się z tej arki.... teraz dziewczynka z pudłem. Teraz



wszyscy poszli do domu, a zajeżdża bryka brodzka. Patrzcie! jaki zawieszisty szlachcic wysiada, pewnie papuś dobrodziej, bo go stary hajduk wysadza. No, skończyło się widowisko! na siano, obrok i słomę i kucharza w szlafmycy niema co patrzeć.

— Teraz, koledzy — rzekł rotmistrz Zaremba — musimy się dowiedzieć, co to za zacna ta familia; nam nie wypada, ale mam zręcznego trębacza, to on dokładny zda nam raport. Hej, Janusz! — krzyknął na idącego ze stajni żołnierza — sam tu coprędzej.

Trębacz Janusz Gil, stanął wyprostowany, a salutując rotmistrza, pytał o rozkazy. Zaremba dał mu dokładne objaśnienia, czego żąda, a Gil wyruszył zaraz na zwiady. Tymczasem generał Kościuszkowski wyszedłszy ze swego zadumania, ożywiony wesołym śmiechem swoich oficerów, zbliżył się do okna, ale nic więcej nie ujrzał, jak tylko zajeżdżające fury i furgon na podwórze doktora. Oficerowie zasiedli znowu w ganku, oczekując na trębacza. Niedługo wraca i donosi, że przyjechał pan prezes Żurowski z żoną, córką i siostrą swoją, panną: że dziś jeszcze przybędzie krewniaczka panny prezesówny młoda i śliczna panna.

— A jak na imię pannie prezesównie? — pyta Kniaziewicz.

— O tom się nie pytał — odrzekł trębacz — bo kuchnię zawołali, żeby co prędzej obiad gotował.

— Koledzy! rajskie wrota się otwarły i wyrzwał Kupido!

Jakoż roztwarły się drzwi na ganku pierwszego piętra i stanęło na nim siedemnastoletnie dziew-

czę, podziw naszych oficerów. Ale za ledwie jednym spojrzeniem dojrzała ich stojących i wpatrujących się w nią tak ciekawie, upiekłszy raka, coprędzej cofnęła się do pokoju.

## II.

W parę tygodni później, w mieszkaniu zajętem przez rodzinę prezesa Żurowskiego, w bocznym pokoju, którego okno wychodziło wprost na kwatery generała Kościuszki, siedziały dwie młode dziewice. Pierwsza, zbliżona więcej do okna, często spoglądała na ganek dworu. Średniego wzrostu bruneta, zwracała uwagę szczególnie białą płącią alabastrową: na obliczu wybijały się świeże rumieńce. Nos kształtny, usta drobne, koralowe, a pod jaskółczemi brwiami oczy czarne, pełne życia i tego blasku, który czar i urok rzuca przy każdym spojrzeniu. W chwilach, gdy jej serce uderzało mocniej, spojrzenie dziewicy nabierało nieopisanej wyrazistości: znający ją bliżej odrazu wyczytywali jej myśl, jej uczucie. Gdy smutek ją opanował, żalność ucisnęła, mgła dziwna na te oczy padała: łzawiły się jak kwiat poranną rosą, a całe oblicze, nie tracąc swej czarownej krasy, malowało ból serca. W ruchach, jakkolwiek spokojnych i poważnych wdzięk całej postaci pięknie odbijał. Warkocz kruczego blasku, gęsty i długi, zdobił jej głowę: drobne nóżki lekko stąpały, mała rączka jakby utoczona. Głos dźwięczny miał w sobie szczególny powab; z daleka nasłuchując, zdawało się, jakby śpiew jaki

oddalony dolatał, bo w mowie przeciągała wyrazy zwyczajem Podolanek i Pokucianek. Siedziała z robotką w ręku, ale była więcej roztargnioną, a wzrok niespokojny rzucała często na ulicę.

Naprzeciw niej siedziała jej krewniaczka, starsza o parę lat Tekla Orlewska i zupełną z nią stanowiła różnicę. Wyższa wzrostem, jasna blondynka, oczu niebieskich, białego a rumianego lica, uderzała na pierwsze spojrzenie wdziękiem swej urody. Wesoła, uśmiechnięta, jakby chciała mówić o szczęściu życia, jakie w całej pełni poczuwała. Zdawała się starszą nad wiek swój, lubo zaczynała dopiero rok dziewiętnasty życia. Patrząc na swą przyjaciółkę, zasepiła się chwilowo i rzekła do niej:

— Tociu! co ci jest? widzę niepokój w twych oczach, które mówią mi wyraźnie, że twoje serce chore; jakieś nowe myśli zamąciły twoją główkę.

Tekla Żurowska na te słowa podniosła oczy, a spojrzawszy na towarzyszkę, z cicha łkając, rzuciła się w jej objęcia.

— Wyspowiadaj mi się, Tociu, a to ulży twemu sercu. Siadaj kochanie, otrzyj z łez oczęta i mów, ale mów cicho, bo ciocia Brygida, jak każda starsza panna nadzwyczaj ciekawa i lubi podsłuchiwać.

Kiedy jednakże Tociu, opuściwszy smutnie głowę, słowa wyrzec nie mogła, przyjaciółka zaczęła z cicha mówić coraz weselszym tonem, patrząc, jak się jej oblicze wyjaśnia i radość zaczyna wybijać:

— Panna prezesówna z wolnem serduszkiem przyjechała do Międzyborza, ale już zamyślała się często w domu i drodze; prawda, wiek to już po temu dojrzały, bo zaczynamy siedemnasty rok życia.

Ja ci, moja Tociu, mogę śmiało matkować, bom o całe prawie dwa lata starsza. We dworze Ihnatowskim i ojciec i matka, sąsiedzi i przyjaciele, wszyscy unosili się nad generałem Kościuszką, opowiadali jego czyny bohaterskie w Ameryce, gorącą przyjaźń z Waszyngtonem: i trzeba takiego zdarzenia, że panna prezesówna zamieszkała naprzeciw kwatery generała, że już go kilka razy z bliska widziała, że nawet w ogródku doktora rozmawiała, a grzeczny generał serdecznie rączki ucałował Toci. Odtąd panna prezesówna zamyśla się często, wzdycha jak ptaszek w klatce, siaduje w okienku niby z robotą, ale rączki jej spoczywają nieczynne, a spojrzenie idzie tam, jak ciotka Brygida powiada: »gdzie serce, tam oczy«, bo panna prezesówna panu generałowi bardzo sprzyja.

Na te słowa Tocia głęboko, ale swobodnie odetchnęła, jakby kamień spadł jej z piersi. Krasna niezwykłym rumieńcem, małą rączką zakryła usta przyjaciółce z radosnymu śmiechem. Orlewska, śmiejąc się także wesoło, spojrzawszy w okno, szepnęła jej do ucha:

— Spójrzyj na ganek, już siedzi pan Tadeusz.

Generał rzeczywiście zajął teraz ulubione sobie miejsce na ławeczce, z której mógł widzieć dogodnie okno panny Żurowskiej. Tocia rzuciła ukradkiem spojrzenie, ale spuściła zaraz głowę, jakby nic nie widziała, gdyż w tej chwili drzwi się rozwarły i weszła wystrojona panna Brygida Żurowska, siostra prezesa, nie podwiązana szafranową chusteczką. Włosy gładko uczesane zdobiła wiązanka niezapominajek z różą.

Orlewska dała znak tajemny przyjaciółce, a sama nieznacznie zapuściła firankę okna. Tocia poskoczyła wesoło, a całując ciotkę w rękę:

— Jakże się spało cioteczce? — spytała.

— Dobrze, wyborzenie! — odrzekła panna Tekla.

— A skąd to wiesz moja Tekluniu? — mówi zdziwiona panna Brygida.

— Widzę to po twojem żywym spojrzeniu, cioteczko, po świeżym rumieńcu na twarzy, po tych ruchach postaci, pełnych życia i wdzięku.

Panna Brygida, ucieszona tem pochlebstwem rozumnej a przebiegłej panny Tekli, ucałowała obydwie z nadzwyczajną czułością i zaczęła sen swój opowiadać, z którego na przemiany wróżyła pomyślną i niepomyślną dolę dla siebie.

— Ale cóż tak, moje panny, z zasłoniętem siedzicie oknem, takie świeże powietrze, aż miło oddychać. Pozwólcie, niech okno otworzę.

Świeży powiew, pełen balsamicznej woni, napełnił zaraz pokój. cały; panna Brygida, stała chwilę w otwartem oknie, a potem rzekła:

— Panny! patrzcie z daleka, nasz generał widać jedzie na mustrę, bo dosiada ślicznego konia. O! O! zbiera się widać cały sztab jego, bo już panowie rotmistrze Potocki i Zaremba pędzą: pan porucznik Kniaziewicz siedzi na koniu, pan Kwaśniewski biegnie do stajni, a ten wartogłów Raciborski, harcując przed dworem, kłania mi się i białą chustką powiewa na pozdrowienie. Moje panny, usuńcie się dalej, jeszcze trochę dalej. Nie wypada stać nam w oknie.

— Ciocia niech przecie dygnie ładnie pięknemu kadetowi.

— Że chłopiec piękny, to prawda, bo to jak krew z mlekiem a żywy jak iskra: ale mdokos, powiem dzieciuch.

Tymczasem nadjechali galopem Potocki z Zaremą i pokłonili się stojącej w oknie pannie Brygidzie, która dygnęła nisko. Za ledwie stanęli na podwórzu kwatery generała, po krótkiej rozmowie Kościuszko zsiadł z konia i wszedł do dworu, a sztab cały wolnym stępem wyruszył za miasto. Wszyscy kłaniali się grzecznie uradowanej ciotce, która każdemu oddzielny poświęciła ukłon. Panna Tekla, przez głowę jej wszystko widziała, i śmiała się serdecznie z Tocią; po chwili ciocia odeszła, pod pozorem zajęcia gospodarskiego, a obiedwie przyjaciółki usiadły przy otwartym oknie swobodnie i radosne. Przed gankiem kwatery generała luzak przeprowadzał osiodłanego karego arabezyka. Dzielnym rumak grzebał ziemię kopytem, podnosił małą a zgrabną głowę, parskał ochoczo i co chwila zrywał się do podskoków. Nie długo wyszedł na ganek Kościuszko, dosiadł karego, który teraz stał spokojnie, ale za ledwie poczuł jeźdźca na sobie, zaczął jak w tańcu wyprawiać korbety. Generał, już wsiadając, dostrzegł obie dziewczę: z wolna podjechawszy pod okno, spojrzął na piętro i spotkały się jego oczy z oczyma wymownymi prezesówny. Zdjął rogatywkę, przycisnął do serca i skłonił głowę z poszanowaniem. W całym tem poruszeniu malowało się poważnie głębokie uczucie.

— Patrz, Tociu! jak nam się ślicznie pokłonił:

tak pozdrawiali panie swych myśli i serca dawni na turniejach rycerze!

Tocia może nie słyszała tych słów przyja-  
ciółki, wypowiedzianych z zapalem, bo oczy, myśl  
i serce posłała za jeźdźcem, który kilka jeszcze  
razy zwrócił głowę ku stronie otwartego okna i  
kłaniał się amarantową konfederatką!

### III.

Prezes Maciej Żurowski liczył właśnie pięć-  
dziesiąt lat z górą. Urodzony za Sasów, wychowa-  
ny w szkołach Jezuitów, całą charakterystykę daw-  
wnego szlachcica w sobie zespolił. Klejnot szlachecki  
ze złotą wolnością i *liberum veto* cenił najwyżej.  
Kiedy jednakże na zniesienie *liberum veto* daremnie  
się zżymał, nigdy nie mógł zapomnieć tego tak  
drogiego przywileju każdego *bene natus et possessio-  
natus*, że szlachcie na zagrodzie równy woje-  
wodzie.

Szorstkość jezuickiego chowu okrzesał i wy-  
gładził na dworze króla Stanisława Augusta. Przy  
koronacyi jego jako oficer przybocznej straży jechał  
w orszaku nowego króla. Wśród zczudzoziemcza-  
łego dworu, na którym wyszydzano w każdej  
chwili i przy każdej sposobności, jak ubiór, tak  
zwyczaj a obyczaj narodowy, zowiąc go grubym  
sarmatyzmem, w tej to chwili, zapomniał i o złotej  
wolności i o *liberum veto*, godząc się z nowym po-  
rządkiem rzeczy i wyobrażeń. Opuściwszy dwór  
królewski, był deputatem na trybunał lubelski, na-

stępnie marszakował na sejmiku, pełnił później obowiązki komisarza cywilno-wojskowego, w ostatku sprawował urząd prezesa na Podolu. Nieposzlakowanej prawości, z cnót obywatelskich szanowany, znany był z pobożności i miłosiernych uczynków. Prędzej żonie, córce, krewnemu odmówił spełnienia prośby niż obcemu, bo trzymał się tej zasady, iż swoim udzielając, dla siebie tylko niejako robił: odejmując zaś sobie, lub swoim, wypełnia dopiero obowiązek względem Boga i bliźniego. Obdarzony bystrą pamięcią, zasięgając wspomnieniem lat dawnych, na co sam patrzył, lub żywym, słowem tradycyi pochwycił, umiał opowiadać zajmujące wypadki, których żaden historyk, żaden dyaryusz ani „*Silva Rerum*“ nieprzechowało, z czasów Jana Sobieskiego, którego, podług zwyczaju w Rzeczypospolitej zwano królem Sobkiem, z napadu Szwedów pod Karolem XII, ze zdarzeń za królów Augusta II i III i z pierwszych lat panowania Stanisława Augusta. Ożeniony z Wisłocką, szczególnie miłował i szanował swoją panienkę, jak zawsze nazywał małżonkę, która, będąc wątłego zdrowia, potrzebowała czulej opieki i pełnego delikatności obejścia. Prezes przy wszystkich przymiotach był gwałtownego charakteru i skory do wybuchu, ale jedno słowo jego panienki, jedno spojrzenie było dostatecznem do pohamowania się w uniesieniu. Jeżeli się zdarzyło, że zapłakała ze wzruszenia, lub z powodu zbytniego uniesienia małżonka, zadraśnięta ostrem jego słowem, pan Maciej na kolanach przeproszał swoją panienkę, dopóki na jej wdzięczne oblicze nie wywołał uśmiechu!



— Oj, mój Macieju! Macieju! za często grzeszysz a potem przepraszasz! — To były jedyne słowa wymówki przywiązanej żony.

Tegoż dnia siedzieli oboje w sali w poobiedniej porze, przy otwartych drzwiach na ganek, gdy weszła panna Brygida, strojniej jeszcze przybrana, jak rano, z bukietem róż u boku i zapowiedziała odwiedziny sztabu generała Kościuszki.

— Rad będę poznać panów oficerów; wszyscy znać dzielni ludzie a i jeźdźcy dobrzy. Widziałem ich wczoraj na mustrze, a to każdy »mój moci« siedzi jak przykuty: nawet ten kadecik Raciborski, do którego panna siostra słodkie, jak mi mówiono, robi oczka, wszak to »mój moci« jeździec nad jeźdźcami!

— Któż to, panu bratu, taką ploteczkę ulepił? — zapytała z małym uniesieniem panna Brygida — wszakże to dziecko!

— Zapewne, mój moci, moja panno siostro, ale *de gustibus non est disputandum: tandem jeździec* co się zowie, a jaki zwinny i zręczny! Wczoraj *per exemplum* w najtęższym galopie, rzuciwszy konfederatkę na ziemię, zatoczył swoim dzielnym siwkim i podniósł ją z ziemi. Ażem z radości ucałował pacholę: boć i człowiek w jego wieku umiał takie sztuczki. Raz, gdym w przytomności króla Jegomości w łazienkach chustkę, rzuconą przez panią Grabowską na drogę, w pełnym galopie podniósł, to król Jegomość aż zbladł z przerażenia, bo myślał, jak mi sam mówił, że kark muszę skrócić.

— Moja Brygisiu — rzekła prezesowa —

bądź tak dobrą i każ przygotować kawy a poślij do cukiernika.

— Wszystko będzie dobrze! już urządziłam, i kawa i ciasta gotowe.

— Dajże mi buziaczka, kochana Brygisiu.

— A gdzież nasze dwie Teklusie?

— Siedzą w swoim pokoiku, zajęte dywanem dla tutejszej fary, ale zaraz je uwiadomię o spodziewanych odwiedzinach. — To wyrzekłszy, panna Brygida pobiegła wesoło do ubocznego pokoju, przywołując panny do sali. Sama usiadła przy oknie, ciągle spoglądając niespokojnie na kwatere generała. Nagle zerwała się i zawołała:

— Goście spodziewani już idą!

Jakoż niedługo szczeł pałaszy dał się słyszeć w przedpokoju; stary kredencierz Walenty roz-  
tworzył drzwi naścieżaj i wszedł na czele rotmistrz Potocki, za nim Zaremba z Kniaziewiczem, a w końcu Kwaśniewski z Raciborskim. Prezes, powstawszy, ze staropolską gościnnością witał uprzejmie przybyłych. Do każdego przemówił z serdecznem uczuciem. Potocki i towarzysze, ucałowawszy rączki prezesowej, panny Brygidy a w ostatku obu panien, zasiedli wokół stolika. Prezesówna nie-  
spokojnem okiem spoglądała to na ulicę, to na dwór stojący naprzeciw, to na drzwi sali, jakby oczekiwała kogo. Orlewska wyczytała, co się dzieje w jej sercu, szepnęła więc z cicha:

— Bądź cierpliwa, niedługo przyjdzie.

Potocki po zagajeniu rozmowy, zbliżył się do prezesa i rzekł z ukłonem:

— Państwo dobrodziejstwo zapewne dozwolą, że nasz generał złoży im swe uszanowanie.

— A mój moci dobrodzieju! — zawołał Żurowski — będziemy to mieli sobie za największy zaszczyt; dla pana generała zawsze u nas jak serca tak i drzwi otwarte.

Tocia odwróciła głowę, przycisnęła ręką bijącą gwałtownie serce, kraśny rumieniec oblał jej oblicze. Na szczęście nikt, prócz przyjaciółki, nie zauważył tego głębokiego wzruszenia. Potocki szepnął kilka słów na ucho Raciborskiemu, który nieznacznie wybiegł, aby dać znać Kościuszcze, że go oczekują.

Panna Brygida, zajęta całą rozmową z rotmistrzem Zarembą, nic więcej nie widziała i nie słyszała, ale Tocia z przyjaciółką dostrzegły, jak biegł żwawo Raciborski i jak wkrótce wraz z nim wyszedł Kościuszek ze swej kwatery.

— Nie ruszajmy się z miejsca — rzekła z cicha Orlewska, widząc zarumienienie swej towarzyszki — bo zwrócisz uwagę na siebie.

I rozpoczęła sama rozmowę z Kniaziewiczem. Tocia zadrżała, dosłyszawszy szczepek pałaszy w przedpokoju, lecz na surowe spojrzenie przyjaciółki spuściła oczęta, obrywając listki z róży, do boku przypiętej.

— To nasz generał zapewne! — rzekł Potocki.

Na te słowa wszyscy powstali. Prezes postąpił do drzwi samych, a ujmując Kościuszkę za rękę, rzekł wzruszonym mocno głosem:

— Panie generale! odwiedziny jego w domu mym uważam zawsze za największy dla siebie

zaszczyt i pociechę, że mogę uściskać dłoń bohatera, co walczył tak dzielnie za niepodległość Amerykanów, którego najwięksi mężowie kochali i szanowali, a ja, mój moci dobrodzieju, tylko z sercem otwartem i łzami radości powitać mogę.

Wyrzekłszy te słowa, pochylił głowę i otarł oczy.

Kościuszkę, pomieszany, zaledwie mógł przemówić:

— Panie prezesie! nie zasłużyłem sobie na takie przyjęcie, ale umiem je ocenić i z serca dziękuję.

Powitawszy panią domu i panny, zatrzymał przeciągle spojrzenie na Toci, która drżąca, jak listek osiczyny, schwyciła za rękę przyjaciółkę swoją i oczy w ziemię spuściła.

Gościnność prezesa ożywiła całe zebrane grono. Po obniesionej kawie gospodarz postawić kazał dwa opleśniałe gąsiorki węgryzyna. Po pierwszym i drugim kieliszku rozochoćili się wszyscy.

Pan Żurowski zaczął przypominać dawne czasy, ów sławny w łazienkach królewskich karuzel przy odkryciu na moście konnego posągu Jana Sobieskiego, w którym miał udział i dobrze trzymał się na siodle. Stąd przeszedł do pochwały Raciborskiego, że z niego dzielny jeździec, co uważa za najpierwszą zaletę młodego szlachcica.

Kniaziewicz mało się mieszał do siedzących przy stole, zajęty rozmową z panną Orlewską, jej wdziękiem i urodą. Toccia, siedząc przy boku swej przyjaciółki, rzuciła tylko ukradkowe spojrzenia na generała, który, niby zajęty opowiadaniem

prezesa, zwrócone miał oczy na swą ukochaną. Gdy pierwszy raz spotkały się ich spojrzenia, na oblicze dziewicy wystąpił żywy rumieniec.

Prezes zatrzymał u siebie wszystkich na wieczery; w parę godzin ożywił jeszcze towarzystwo doktor Stakenszmitt, ochoczy do rozmowy i kielicha.

Już było blisko północy, a przez otwarte okna mieszkania prezesa brzmiał okrzyk radosny, tak znany przy wznoszeniu ostatniego wiwatu, staropolskie: »Kochajmy się!«

Jasny miesiąc wypłynął na czyste niebo — nie zaciemniała je żadna chmurka. Szczęk pałazy krótko było słychać przed kwaterą generała, wkrótce światła pogasły. Milczenie zaległo całe miasto, czasem szczenie psów z dalszych folwarków dolatywało, a przy otwartem oknie, siedziały obie przyjaciółki, trzymając się za ręce.

— Tekluniu moja złota! teraz zdaje mi się, że mnie kocha! — mówiła wzruszona Tocia.

— Oby Bóg dał ci szczęście i mnie przy tobie — odrzekła Orlewska — bo miała na myśli gorące spojrzenia Kniaziewicza.

#### IV.

Od tej chwili stał się Kościuszko codziennym gościem w domu prezesostwa. Oboje coraz uprzejmiej przyjmowali generała. Matka, uwiadomiona przez przyjaciółkę Toci o jej uczuciach i przywiązaniu, nie miała przeciw związkowi zamie-

rzonemu: nawet panna Brygida, przypuszczona do tajemnicy, pochwalała tę myśl prezesowej.

Bo szczególnież zmieniła się teraz: ze szczerbiotliwej i lubiącej ploteczki stała się odrazu poważną, uprzejmą i często zadumaną. Liczyła właśnie trzydziesty rok życia i zachowała ślady dawnej piękności. Płeć białą zatrzymała, oblicze kraśniało żywym rumieńcem, oczy czarne nabrały nowego blasku — słowem panna Brygida, skoro porzuciła narowy, przywiązane do starej panny, w oczach wszystkich zmieniła się do niepoznania.

Tocia z przyjaciółką swoją już się jej nie wystrzeżały, ale wszystkie swoje powierzyły tajemnice. Zwierzenia te przyjęła z uczuciem wdzięczności, sama jednakże poważnie milczała, jakkolwiek Orlewska już dostrzegła jej miłość do rotmistrza Zaremby, żadnem przecieź słówkiem nie dała jej tego poznać.

Dziewczęta częściej widywały Brygidę, modlącą się gorąco przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, przed którym gorzała ciągle lampka. Raz zesła ją niespodzianie panna Tekla. Klęczała przed obrazem, ale skończyła już modlitwę i tylko z załamaniem rękoma, w milczeniu spoglądała rzewnym wzrokiem w oblicze Bogarodzicy.

Orlewska stała chwilę, wpatrując się w jej postać, ale dłużej nie mogąc wytrzymać, poskończyła ku niej i zawołała dźwięcznym głosem:

— Ciociu! jakaś ty ładna!

Panna Brygida odwróciła tylko głowę i zakłakała cicho.

— Ciociu! Brygisiu! ja znam uczucie twego serca i z duszy się cieszę. — Na te słowa panna Brygida powstała i położyła palec na usta, a potem rzuciła się w objęcia Orlewskiej.

— Teklusi! — mówiła zażawiona — Bóg tylko dotąd o tem wiedział, co ty wiesz teraz.

— Cioteczko kochana — odrzekła pieszczotliwym głosem — ulżyj sereu swemu, powierz mi swoje cierpienia, ja je z Tocią podzielę, a lżej ci będzie. O! teraz i ja będę kochała poczciwego rotmistrza.

— Ale nie tak — przemówiła panna Brygida — jak pana Karola.

Na te słowa Orlewska zdumiała się, rumieniec żywy oblał jej piękne oblicze, zakryła oczy rączkami i z pospiechem uciekła.

Drżąca, wzruszona wbiegła do swego pokoju, który razem z Tocią zajmowały, a chwyciwszy ją za rękę: — moja duszo — rzekła, oddychając jakby zmęczoną pierśią — ciotka odkryła i moją tajemnicę.

— To dobrze — z radosnym uśmiechem odpowiedziała Tocia. — Teraz żadnej przed sobą nie będziemy miały skrytej myśli.

Dzień był przecudny: doktor Stakenszmitt zaprosił cały dom prezesostwa, jakoteż i generała z towarzyszami broni do siebie na kawę i śmietaną wiejską. Zastrzegł, żeby wcześniej się zebrali na podwieczorek, a obawy nie mieli, jeżeli będzie skwar słońca, bo jego ogród ze zwierzyńcem da chłód i ochronę przed gorącem.

Prezesowa z Brygidą, Tocią i Orlewska wy-

szły około czwartej godziny po obiedzie; prezes podług zwyczaju drzemął i przyrzekł później nadejść.

W ogrodzie doktora już zastały generała Kościuszkę z gronem znajomych oficerów.

Po przywitaniu zawiązała się wesoła rozmowa. Doktor, jako gospodarz domu, podał rękę prezesowej i powiodł do cienistej altany przed domem swoim, a zwracając się do reszty towarzystwa, rzekł z uśmiechem:

— My poważniejsi będziemy sobie gawędzili o lepszych dla nas czasach, a wy młodzi używajcie spaceru.

Kościuszko uśmiechnął się i rzekł, patrząc w oczy Toci:

— To już nie do mnie słowa doktora: »młodzi niech zostaną«. Czy mam odejść?

— O nie, nie! — zawołała żywo Tucia — generał przecie grzeczny i nie zostawi mnie samej.

Kościuszko z rzewnem uczuciem pochwycił drobne jej rączki i ucałował. Raciborski szepnął rotmistrzowi Potockiemu:

— Zostawmy młodzież, a my poważniejsi chodźmy do prezesowej.

Potocki spojrział na kadeta i parsknął śmiechem, gdy ten poważnie wyrzekł:

— Rotmistrzu, patrz! trzy pary turkawek! Jacy szczęśliwi, to już nie dla nas.

Śmiejąc się wesoło, razem pospieszyli do altany, bawić rozmową matkę i doktora. Kwaśniewski odjechał był od dni kilku do swojej chorągwi.



Zwierzyniec Stakenszmitta był obszernym ogrodem, a główną jego ozdobą były olbrzymie dęby, lipy, płaczące brzozy i gdzieniegdzie wysmukłe sosny. Zabytki to dawnego boru, które szczenił pełen smaku i gustu doktor. W pośród tych drzew zasiał trawniki, wysypał żółtym piaskiem ścieżki i urządził ławki wygodne w miejscach najwięcej zacienionych.

— Mój ogród zimą i latem — mawiał — zawsze zielony i nigdy nie traci swych liści.

A mówił prawdę, bo sosny pod śniegiem jeszcze zieleńiły.

Rotmistrz Zaremba przechadzał się z panną Brygidą, podawszy jej rękę. Za nimi szedł w oddali Kniaziewicz z Orlewską, których radosny śmiech jedynie przerywał głęboką ciszę zwierzynca i łączył się z miłym odgłosem kukułki, mającej tu ulubione schronienie.

Kościuszko, siedząc na ławeczce obok swej bogdanki, na kukanie tego ptaka przemówił:

— Słyszysz pani? to ptak wiosny, ale także smutku i żałoby. Słyszałem w dzieciennych latach od mojej niańki pieśni i powieści, że kukułka wróży żałobę.

— Jakież to myśli, panie Tadeuszu, w tej chwili, gdy tak jestem szczęśliwą i pełną radości! O! Bóg dobry od tego nas uchroni, ja wierzę w świętą Jego opiekę i gorąco się modłę.

— Módl się, módl pani i za mnie, bo nie wiemy, co nas w przyszłości spotkać jeszcze może.

— Nie mów tak, drogi panie, bo mi serce się ściska i lzy biegną do oczu.

Kościuszko ucałował jej ręce a Tocia patrzyła w jego oblicze zażawionemi oczyma.

Zaremba skończył już czwarty krzyżyk, ale zahartowany życiem obozowem, nie wyglądał na te lata. W młodych latach służył w przesławnej konfederacyi Barskiej pod Kazimierzem Pułaskim, który go nie tylko lubił, ale kochał nawet. Był z nim w Częstochowie, broniąc tej twierdzy, i wyprowadzał go za mury, gdy raz ostatni ten bohater żegnał ojczystą ziemię i spieszył do Ameryki, aby tam znaleźć śmierć walecznego.

Sierota od lat młodych, zajęty służbą, unikał niewieściego rańtuszka: raz tylko zadrżało jego serce, gdy ujrzał piękną i dorodną żonę swego pułkownika. Ale wychowany w zasadach honoru i z natury pobożny przytłumił wzrastającą miłość, uważając za grzech myśl o zameźnej niewieście. W gwarze życia obozowego uspokoił się, przytłumił uczucie i od dwóch lat spokojnie i swobodnie oddychał, gdy w pannie Brygidzie znalazł wielkie podobieństwo do niezapomnianego oblicza i postaci pułkownikowej. W równych była prawie z nią latami, też oczy czarne, dźwięk nawet głosu podobny.

Z początku zanadto mu się zdawała żywą, ale gdy spoważniała w chwilach swej zadumy, rotmistrz oczarowany spoglądał i widział żywy wizerunek swej wymarzonej, za którą tyle lat tęsknił i bolał.

Nieśmiały, jak wszyscy dobrzy wojacy, do kobiet wyższego ukształcenia, bojaźliwie wyjąkał swe myśli i uczucia. Jakby niebo otwarte ujrzał,

gdy się dowiedział, że pozyskał jej wzajemność i odebrał przyrzeczenie, że będzie mu wierną i stałą do grobu.

Kniaźwicz wiódł wesołą i głośną rozmowę z panną Teklą: śmiali się radośnie, ale w przerwach rozmawiali wymownie oczyma, bo dobrze powiedział stary Łukasz Górnicki w swoim »Dworzaninie«, że: »oczy, są to wierni posłańce od serca.«

Jedno drugiemu nie powiedziało słowa o miłości, a byli pewni wzajemnego uczucia.

Po podwieczorku zmrok zapadł, a prezes nie nadszedł: przysłał jednakże wkrótce starego kredencera Walentego, przepraszając, że z powodu przybycia niespodziewanego gościa z Warszawy sam przybyć nie może, ale prosi, żeby się wszyscy wesoło bawili.

Na tę wiadomość posmutniało poważne oblicze matki, lecz reszta towarzystwa wraz z gospodarzem nie straciła humoru. Potocki podał do przechadzki w zwierzyńcu rękę prezesównej, której doktor i Raciborski towarzyszyli nieodstępnie. Za nimi szły trzy pary nasze.

Księżyc wypłynął na jasny lazur niebios; przy nim jedna tylko gwiazdka błyszczała. Ze zmrokiem wieczornym zawiodły swój śpiew słowiki.

Pod wielkim dębem zasiadło całe zebrane grono.

— To moje ulubione miejsce! — mówił doktor — tu co wieczór, gdy jestem sam, a zazwyczaj o tej porze, siedzę i rozmyślam o swej przeszłości. Mój Boże! czyż mogłem myśleć, że, gdy przyjdę do dostatniego mienia, Bóg mnie tak srodze

osieroci! Tu mi zmarła żona, którą kochałem serdecznie, jedyny przyjaciel na tej ziemi: tu na rękach moich skonała siedemnastoletnia moja droga Ludwika!

Na to imię wstrząsnął się Kościuszko.

— Co ci to, panie? — szepnęła z cicha Tocia.

— To nic, to nic! — odrzekł, — ale smutno głowę opuścił na piersi.

— Tu pod tym dębem — mówił dalej doktor wzruszonym głosem — siadywaliśmy razem i jak teraz słuchaliśmy śpiewu ptasząt. Kiedym je po-grzebał i ukoił się nieco w cierpieniu, przyszedłem znowu pod ten dąb i usiadłem. Ale, gdym usłyszał moje słowiki, co śpiewały mi za życia, samotnik teraz, płakałem jak dziecko i nie dziwię się łzom moim!

Poważny starzec załkał rzewliwie; presesowa ze smutkiem w oczach, ściskając go za rękę, rzekła drżącym głosem:

— My umiemy czuć i podzielać twą boleść, szanowny konsyliarzu!

Kościuszko powstał, ujął jego rękę i przemówił wzruszony:

— Mój doktorze! na twą boleść Bóg tylko i czas mają lekarstwo. My pojmujemy takie straty.

— Dziś — mówił spokojniej Stakenszmitt — jest rocznica śmierci mej żony i mojej jedynaczki; chciałem się waszą obecnością rozweselić, a zamiast tego zasmuciłem was wszystkich. Darujcie biednemu pustelnikowi.

Całe grono otoczyło go ze współczuciem, dziękując za przyjęcie gościnne i pożegnało. Przed

mieszkańcem prezesostwa pożegnano damy i w milczeniu rezeszli się oficerowie do swoich kwater.

Do północy w oknie dworu Kościuszki widać było światło. Znać niepokój sen spędzał mu z powiek. Siwy Jędrzej, stary wiarus na służbie będący, zajrzał przez szybę, i dojrzał jak siedział generał przy stole, pogrążony w głębokiej zadumie. Przeżegnał go krzyżem świętym i sam odmówił »Pod Twoją obronę.«

## V.

Kiedy wesoło zebrane grono bawiło w ogrodzie doktora, a prezes po smacznej drzemce zamierzał wyjść, ażeby dzielić jego uciechy, zaturkotał pojazd i stanął przed jego domem. Niedługo stary Walenty zameldował, iż przybył staroście Koziegłowski, szambelan króla JMOści, który chce złożyć swe uszanowanie.

— Prosić! prosić! — odrzekł prezes — i sam, powstawszy z sofy, zbliżył się do drzwi na środek pokoju.

Ukazał się teraz w nich gość niespodziewany: średniego wzrostu, wychudły, z twarzą zmarszczkami okrytą, uśmiechniętą ciągle. Na głowie miał perukę fryzowaną, modny surdut po kolana popielatej barwy z krótką pelerynką, kamizelkę atłasową jasno-zieloną, suto haftowaną złotem, spodnie za kolana tylko, przewiązane czarną wstążką, białe, jedwabne pończochy i krótkie ze sztylpami buty, sięgające do połowy łydek.

Zapach mocny piżma wypełnił pokój. Szambelan po grzecznym ukłonie stał chwilę, wpatrując się w gospodarza domu, zażył ze złotej tabakierki tabaki, błysnął brylantowym pierścieniem u prawej ręki, poprawił koronkowych żabotów u gorsetu i przy mankietach.

Kiedy prezes patrzył zdziwionemi oczyma na gościa, ten, wdzięcząc swoje oblicze, mówił powolnym głosem:

— Więc mnie już prezes, mój stary *amicus*, nie poznaje? przecieżeśmy razem byli na koronacyi Najjaśniejszego Pana, szczęśliwie nam panującego. Żurowski na te słowa z uszanowaniem pochylił głowę, a szambelan dalej mówił:

— Tak! tak! panie Macieju, nie poznałeś swego Ignasia, którego za dobrych naszych czasów znałeś zawsze firecykiem. — Prezes z radosnym uśmiechem podał mu wtedy rękę, uścisnął i posadził obok siebie.

— A mój panie Ignacy, nigdybym cię nie poznał! djabelnie się podstarzałeś, luboć — co prawda to nie grzech — już rok trzydziesty z góry minął, jakeśmy się nie widzieli.

— Co tam! — odrzekł wesoło szambelan — starzejem się na twarzy i w czuprynie, ale nie sercami; wszak prawda, panie Macieju? Jesteśmy zawsze starymi a dobrymi przyjaciółmi. — I rzucił się w objęcia gospodarza.

Prezes kazał przynieść Walentemu dobrego węgryzna: szambelan bowiem podziękował za podwieczorek, a po jednym i drugim kieliszku rzekł, niby niechęący:

— Cóż tutaj porabia Amerykanin?

— Jaki? — zapytał zdziwiony prezes.

— Czyż się nie domyślasz, panie Macieju, że mówię o waszym generale, co stoi kwaterą w Międzyborzu?

— A! o Kościuszcze!

— Tak, o nim chcę mówić — ciągnął z uśmiechem ironicznym — któregom już przeklął na zlej grobli ztąd o milę.

— A to dlaczego? — zapytał ciekawie prezes.

— Bo z jego powodu musiałem zboczyć z drogi i wstąpić do Międzyborza i do was, prezesie, spełniając wyraźnie rozkaz Jego Król. Mości, szczęśliwie nam panującego.

Zadziwienie coraz większe wzrastało w gospodarzu domu: dostrzegł to szambelan, a wychyliwszy czwarty kieliszek węgryzna, rzekł cichszym i wolniejszym jeszcze głosem:

— Zacznę więc *ab ovo*. Wiesz zapewne, że babka moja, co mieszkała pod Humanem, umarła we Lwowie, zapisując mnie cały mój majątek. Właśnie byłem na służbie u króla Jegomości, gdy odebrałem o tem wiadomość, prosiłem więc Najjaśniejszego Pana o urlop, który łaskawie udzielić mi raczył.

— A którądy twoja droga, szambelanie? — zapytał mnie. Ja wymieniłem znaczniejsze etapy. — Proszę cię, mój panie Ignacy, rzekł dobrotliwy monarcha, kładąc swoją piękną rękę na mojem ramieniu: Zrób mi jedną grzeczność. — Ja skłoniłem głowę z uszanowaniem, oświadczając,

że będzie to dla mnie najmilszą rzeczą, gdy król Jegomość mówił dalej:

— W Międzyborzu stoi kwaterą nasz Amerykanin — bo tak w zamku króla Jegomości zowiemy waszego generała — a przybył tam do Sztakenszmitta mój dawny przyjaciel, Maciej Żurowski, deputat a teraz prezes, wraz z żoną i córką, bardzo piękną panną. Wiesz mój Ignacy, zniżając głos swój dodał Najjaśniejszy Pan, że nasz waleczny Amerykanin wielki bałamut. Jak mam wiadomość, łatwo zdobył serce młodej panienki, ale wiedząc, że ojciec tak łatwo mu córki nie da, bo całem jego majątkiem, jest ranga jeneralska...

— Przecież na swoją wieś od przodków dawnych, Siechnowice! — przerwał dotknięty żywo prezes.

— Gdzie tam! obełguje! miał, ale dawno zmarnotrawił! ale mi nie przerywaj, aż skończę, kochany Macieju — mówił szambelan, szósty kończąc kieliszek starego węgrzyna, po którym i oczy mu zajaśniały i rumieniec na blade, a znarszczone wystąpił oblicze. — Otóż mówił dalej król Jegomość — Amerykanin postanowił wykraść córkę prezesowi.

Na te słowa zerwał się z kanapy Żurowski. Widać w nim było wewnętrzną walkę. Nie dowierzał z początku słowom szambelana, ale, gdy rozważył, że król zna tak dokładnie stosunki domowe jego i wie co się dzieje w Międzyborzu tak szczegółowo, zaczął niespokojnie przechadzać się po pokoju, nie mogąc dobrać słów do odpowiedzi.

Szambelan, popijając z kieliszka i cmokając



ustami, spoglądał z pod oka na gospodarza, który to targał wasy, to pocierał czuprynę, to załamywał ręce i coś pomrukiwał z cicha. Nie mogąc się odpowiedzi doczekać, po długiej chwili przemówił:

— Nie nowina to! — mówił dalej król Jego-mość — wszakże wiesz, mój panie Ignacy, jak wykradł dawniej hetnanównę?

Żurowski upamiętał się w swoim niepokoju, usiadł przy stole, nalał sobie kieliszek jeden i drugi, a pijąc je pospiesznie, rzekł drżącym głosem:

— Słyszałem coś o tem, lecz opowiedz mi szczegółowo, panie Ignacy.

Szambelan zażył tabaki, a poprawiwszy za-botów, odrzekł:

— Opowiem ci, panie Macieju, wedle słów Najjaśniejszego pana, szczęśliwie nam panującego, wiernie i dokładnie. Wiesz, że Kościuszko pochodzi z ubogiej na Litwie rodziny; znał jego ojca pan hetman Sosnowski i za poważnym wpływem swoim, umieścił go w korpusie kadetów w Warszawie. Chłopak się dobrze uczył i zwrócił uwagę księcia generała Ziem Podolskich, a następnie zyskał jego względy, przy czem miał sposobność zbliżyć się do osoby Jego Królewskiej Mości, szczęśliwie nam panującego. Kiedy ukończywszy nauki, nie miał co robić, bo w wojsku Rzeczypospolitej przy błogim pokoju nie tak łatwy był awans, pan hetman wziął go na dwór, a młody kadet przez wdzięczność zaczął uczyć rysunków, historyi i geografii dostojne jego córki. Ale przy tej sposobności nie zaniedbał korzystać ze zbli-

żenia i pozyskał serce młodej hetmanówny Ludwiki. Dobrze jednak wiedział hołysz, że tak łatwo ręki jej nie dostanie. Przybywa do Warszawy, staje przed szczęśliwie nam panującym Panem i zwierza mu się ze swej miłości. Znasz i wiesz sam, jak dobrotliwy jest nasz król szczęśliwie nam panujący. Wysłuchał cierpliwie młodego zapaleńca, perswadował mu po przyjacielsku nawet, pokazując wymownie niepodobieństwo takiego związku. Ale ten, uparty jak Litwin, miał zuchwałość powiedzieć Najjaśniejszemu szczęśliwie nam panującemu Panu te słowa:

— Jeżeli Wasza Królewska Mość nie pomoże, to ja pannę sam wykradnę!

Uklonił się i odjechał. Wtedy monarcha nasz co rychlej wysłał posłańca do hetmana, ostrzegając go o zamiarach pana kadeta. Za późno przybył, bo już uchodziła z uwodzicielem panna Ludwika, ale wystąpi ludzkie dognali kochanków. Amerykanin bronił się dzielnie, cięty szablą upadł: panna omdlała. Przyniesiono ją do dworu, a uwodziciela skrwawionego i związanego stawiono przed hetmanem, który rzekł do niego groźnym głosem:

— Młokosie! wiedz, że synogarlice nie dla wróbli a córki magnackie nie dla szlachetków! Gdybym nie miał uwagi na pamięć twojego ojca, inaczejbym z tobą postąpił, a teraz tylko wypędzam cię na zawsze z mego domu, bo za wysokie są jego progi na twoje nogi.

Rozkazał go felerzerowi nadwornemu opatrzyć, rozwiązać i wywieść do najbliższego miasta z jego manatkami.

— Zuchwały był zapewne zamiar młodzieńca — przemówił zamyślony Żurowski — ale zuchwalsza mowa hetmana. Szlachetka! a skąd sam wyrósł? także był szlachetką! Wielki magnat, butny, a z jego śmiercią skończy się wielkie państwo i duma!

Szambelan zdziwiony słuchał mowy prezesa, lecz utulił oburzenie swoje na tak gorszące demokratyczne zasady, popił z nowego gąsiorka węgryna i mówił dalej:

— Król Jegomość, szczęśliwie nam panujący, gdy opowiedział mi całą historję, dodał w końcu: Czem skorupka za młodu nasiąknie, tem zawsze trąci; wstąpcze do Międzyborza, pozdrów deputata odemnie i ostrzeż w mojem imieniu. Ja spełniam, kochany panie Macieju, tylko rozkaz króla Jegomości, szczęśliwie nam panującego! — I skłonił głowę pokornie, wymawiając z uszanowaniem a dobitnie ostatnie słowa.

Prezes westchnął głęboko, jakby kamień naciskał mu piersi i milczał. Szambelan, zażywając tabakę, poprawiając żaboty i mankiety, spoglądał z pod oka, jaki skutek jego mowa wyrze na nim. Gdy go ujrzał złamanego i osepiałego, rozgrzany winem, rzekł nagle:

— Muszę cię pożegnać, kochany panie Macieju, bo czas nagli i mam obliczoną każdą sekundę. — I spojrział na zegarek, brylantami wysadzany, dobyte z głębokiej kieszeni atłasowej kamizelki.

— To — mówił — jest drogocenny dar Najjaśniejszego Pana, szczęśliwie nam panującego.

Za wierną służbę, za pracę, od której przyszła wcześniejsza siwizna, raczył mnie obdarzyć tym pysznym podarkiem, a później zaszczycił i orderem świętego Stanisława. Wyborna to sztuka, ale i mój podróżny pektoralik, jako zegarek, doskonale dotrzymuje pola brylantowemu magnatowi.

I znowu wydobył z kieszeni przedniej na piersiach złoty zegarek z długimi dewizkami, pokazując że oba na sekundę nie chybają. Nalawszy sobie nowy kieliszek, zawołał wesołym tonem:

— No mój stary przyjacielu, żyj szczęśliwie i tyle lat zdrowo, ile ma lat ten wyborczy węgrzyn!

Poczem, uściskawszy gospodarza serdecznie, zabierał się do wyjścia, gdy nagle, stanąwszy na środku pokoju, rzekł do prezesa:

— Ot! mój panie Macieju, byłbym zapomniiał przy natłoku poleceń Jego Królewskiej Mości, szczęśliwie nam panującego! Jadę do Lwowa, a mój plenipotent nie stawił się na słowie i nie przysłał mi pieniędzy. Nie mógłbyś mi, prezesie, na tydzień wygodzić ze trzysta czerwonych złotych?

— Tyle nie mam, ale dwustu mogę ci służyć, mój panie Ignacy! — odpowiedział Żurowski.

— No! zajadę tem do Lwowa i załatwię interesu, a potem do Humania lecę. Pozwól pióra i papieru....

— A mnie na co skrypt twój? — przerwał prezes — między ludźmi uczciwymi dosyć słowa obywatelskiego. Czekam zwrotu za dni dziesięć.

Szambelan cofnął się o kilka kroków, zdziwiony temi słowami, lecz miarkując się, pochylił głowę, a skrywając szyderezcy uśmiech, rzekł:

— Po tym szlachetnym czynie poznaję prawdziwego szlachcica polskiego.

Prezes otworzył kantorek i wyliczył na stole dwieście dukatów nowych z pod stempla. Zaiskrzyły się oczy szambelanowi na widok złota, zgarnął je co rychlej do sakwy jedwabnej.

— Król Jegomość... (już nie dodał: »szczęśliwie nam panujący«) będzie wiedział o tym wspaiałym czynie twoim, panie Macieju.

Uściskał go serdecznie i z pośpiechem wybiegł do przedpokoju: bitego talara Walentemu wsunął w rękę, wskoczył do pojazdu i kazał gnać co siły, by prędzej opuścić Międzyborz.

Po jego odjeździe Żurowski długo chodził ze spuszczoną głową po pokoju. Nie mógł zebrać myśli do ładu. Jakiś ciężar cisnął mu piersi: otworzył więc okno, ażeby odetchnąć świeżem powietrzem. Księżyc na jasnym świecił lazurze; w pobliskim zwierzyńcu doktora zawodziły słowiki. Ten śpiew, noc pogodna, jasna i cisza w około uspakajały wzburzenie jego. Zaczął swobodniej oddychać całą piersią.

— Czy on mówił prawdę? — myślał sobie.— Jakżeby śmiał kłamać słowa królewskie? Lecz skąd król wie o wszystkim, gdy dopiero kilka tygodni bawimy w Międzyborzu? skąd taka nienawiść do generała, gdy własnoręcznie pisał do niego w tak pochlebnych i ujmujących wyrazach, ciesząc się, że bohater, znany na drugiej półkuli świata, ozdobi wojska Rzeczypospolitej?... Ale król mylić się nie może, zna go lepiej — bądźmy więc ostrożni.

Czyż prawda, że go Tocią kocha? Choćby nawet tak było, to nie dla niej partya?...

Siedział długo w tych myślach, gdy dosłyszał kwilenie puchacza. Dreszcz go przejął — pokręcił węży, i pomruknął: »zły to prognostyk. Spojrzał po chwili oknem i wśród jasnej nocy ujrzał całe grono wracających ze zwierzyńca doktora. Generał prowadził pod rękę Tocię. Prezes odstąpił od okna, padł na kanapę, zakrył oczy rękoma, westchnął boleśnie z głębi piersi i zawołał głośno: — Nie! nie! nie!

## VI.

Prezes z zachmurzonym czołem powitał żonę, mileząc, podał rękę Toci i Tekli do pocałowania na dobranoc, Brygidzie tylko głową skłonił. Panny, zdziwione jego smutkiem, odeszły z ciotką zasepione, strudzone jednak przechadzką, rozmazane rozmową i doznaniem wzruszeniem, prędko i smacznie zasnęły.

Ale w sypialnej [komnacie cicha rozmowa między rodzicami trwała długo; na głos prezesa: ratunku! wbiegła panna Brygida, której sen z powiek uleciał. Matka po dwakroć omdlewała, miała bicie serca, a Żurowski, na kolanach przed nią klęcząc, całował jej ręce i utulał, w jakimś dziwnym będąc rozstroju nerwowym. Po spazmach i palpacji serca nastąpiło osłabienie mocne. Doktor Stakensmitt przywołany, przerażony był jej stanem: coś długo w kącie mówił z prezesem, groził mu surowo, a ten słuchał z dziwną pokorą.

Okolo drugiej w nocy uspokoiło się wszystko, Stakenszmitt nie położył się, ale chodził po swoim zwierzyńcu. Wkrótce świtać zaczęło. Kościuszko już był na nogach: jakiś niepokój sen mu odebrał, wiedziony szczególnem przecuciem, chciał przejść się po zwierzyńcu, tyle drugim sobie, gdy przy samem wnijsciu spotkał doktora. Od niego dowiedział się o zaszłej scenie u prezesów, o chorobie zacnej matrony. Osmutniał nagle, uściśnął go za rękę, i wolnym krokiem wrócił do swej kwatery.

Słońce już wybiło wysoko, gdy się razem prawie obie przyjaciółki obudziły i co rychlej ubrały. Niedługo z cicha drzwi się otwały i ukazała się panna Brygida z zapłakanemi oczyma i przybladłym licem.

— Co to cioci? — zapytała przerażona Tocia, patrząc na nią wystraszonemi oczyma.

— Nic! nie! moje panny! tylko cicho! — mówiąc to, na palcach podeszła i drzwi od sali na klucz zamknęła. Usiadła na kuferku zmęczona i zeicha długo płakała. Gdy się ukoila nieco:

— Straszna to noc była, — mówiła — matka, moja droga bratowa, o mało życiem nie przypłaciła. Tocia zerwała się wybladła i biedz chciała, ale wstrzymała ją ciotka.

— Teraz śpi i potrzebuje spoczynku; czuwa tam przy niej pan brat troskliwie.

— Cóż to było? — pyta Orlewska.

— Kiedyśmy używali milej przechadzki w zwierzyńcu doktora, zjawił się gość, a raczej djabeł rogaty, niby szambelan króla a dawny

przyjaciel pana brata, który niestworzone rzeczy mu nagadał na naszego generała. Napoiwszy jego serce jadem, wyjechał, nimeśmy wrócili. Ojciec twój, Tociu, pałając jakąś dziwną nienawiścią do pana Tadeusza, byłby dziś jeszcze z nami opuścił Międzybórz, gdyby nie choroba pani bratowej.

Ale po rozmowie z doktorem, który mu dał surowe napomnienie, zmiękł nieco i przestraszony o zdrowie matki, milczy; widziałam nawet, że płakał w kąciuku.

— Ależ co ten gość gadał na generała? mów ciociu!

— Wszystkiego jeszcze nie wiem dokładnie, ale niedługo dowiem się od doktora.

W tej chwili Walenty poprosił pannę Brygidę, mówiąc, że gość czeka: jakoż w przedpokoju ujrzała Kniaziewicza, który przyniósł liścik od generała do Toci, objaśnił ją o całej rozmowie i nikezemej potwarzy szambelana na Kościuszkę.

— Szczęście jego, że ten lotr stąd uciekł — mówił drżący jeszcze gniewem — gdybyśmy go złapali, miałby gorącą łaźnię, od którejby go nie uratował ani order ani tytuł szambelana.

Ciotka doręczyła liścik siostrzenicy, a sama pocichu podsunęła się do sypialnej komnaty prezesowej. Już nie spała, weszła więc, a całując ją, życzyła dnia dobrego.

Żurowski siedział przy oknie i modlił się z książki od nabożeństwa.

— Jakże dzisiaj pani bratowej? — spytała panna Brygida.



— O lepiej mi znacznie po lekarstwie doktora, ale tak osłabioną jestem, że się ruszyć nie mogę. A gdzie Tocia i Teklusia? niech je zobaczę.

Obiedwie zaraz nadbiegły, a ich rozmowa i pieszczoty orzeźwiły chorą. Ojciec z niezwykłą czułością ucałował córkę i pozdrowił tak pannę Brygidę jak Teklę: a potem znowu się modlił. Cały dzień chora nie opuściła łoża: prezes kazał prosić obu rotmistrzów i Knaziewicza na wieczór, żeby żonę rozerwać, gdy będzie słyszała ich rozmowę. Stawili się wszyscy z zasepionem obliczem.

Prezes przyjął ich jak najserdeczniej, kazał przygotować kolację, częstował starym węgrynem, ale ochoty dawnej rozbudzić nie mógł. Tocia więcej przy łożu matki przesiedziała; panna Tekla i Brygida zabawiały swych gości. Rotmistrz Potocki rozmawiał z prezesem o świeżych wypadkach w kraju, o ustawie rządowej 3-go maja, którą czytał właśnie u generała w kwaterze, dokąd kilka egzemplarzy tejże przysłano.

— Jak się ma pan Tadeusz? — szepnęła Orlewska do Knaziewicza.

— Smutny, bardzo smutny, czeka na odpis i zobowiązał mnie, abym go przyniósł.

Panna Tekla podniosła się nieznacznie, weszła do sypialni prezesowej i dała znak Toci.

— Ja teraz zostanę przy mamie — mówiła — ty baw gości, bo się dopytują o ciebie.

Tocia przesunęła się przez sale, i drżącą ręką skreśliła na karteczce kilka wyrazów. Oddała ją pannie Tekli, która doręczyła ją Knaziewiczowi. —

Weześniej, jak zwykle, goście pożegnali gospodarza i damy. Prezes odprowadził ich do drzwi i zapraszał, aby pamiętali o jego domu.

— Bo nas tu niedługo w Międzyborzu, — mówił jakby na przestrożę — czekam tylko na ozdrowienie mojej panienki, a potem do domu. W Ihnatowicach za to czekać będziemy z utęsknieniem i lepiej przyjmiemy z chlebem i solą.

— A czy z dobrą wolą? — rzucił z uśmiechem rzewnym Kniaziewicz.

— Z dobrą wolą, ze szczerem i kochającym sercem — odrzekł Żurowski, ściskając młodzieńca serdecznie.

Nazajutrz rano odwiedził chorą z acny doktor i rad był, że stan jej znacznie się poprawił. Usiadłszy przy łożu, wziął ją za rękę, badał uderzenie pulsu, poczem uśmiechnął się wesoło i całując trzymaną dłoń prezesowej, wyrzekł:

— Pani moja kochana! Dziś troszkę z łóżeczka powstaniemy w południe: posilimy się kropelkami, które zaraz zapiszę, rosółkiem z cielęciny i kurczątkiem pieczonem: a we dwie godziny znowu do łóżeczka na spoczynek: ja tu przyjdę na egzekucyą.

Prezesowa uśmiechnęła się, patrząc na rozradowane oblicze męża, który gładził czuprynę i pokręcał wąsy, co zawze było znakiem dobrego humoru. Około południa, kiedy usiadła w sali, otoczona panną Teklą, Brygidą i córką, wszedł Kniaziewicz i doręczył jej list od jenerała. Drżącą, ręką rozpieczętowałwszy go, przeczytała następane słowa:

»Nie mogę, Bóg widzi, nie mogę zamilczeć, bo co słyszę, czytam, piorun we mnie uderzył. Względem plotków można się zaspokoić: Rotmistrz Potocki, który jest tegoż województwa ze mną, może zaświadczyć, że mam dziedzictwem wieś i sam ją trzymam. Nie każesz już mnie pisać, moja matuniu, znać, że już po wszystkim, znać, że się nakłoniła do perswazyi, znać, że już i od niej oddalony na zawsze zostaję, znać, że prędko o swej przyjaźni zapomniała. Czynię z rozkazu zawsze matki mojej i jej, która zawsze w mem sercu będzie. Już nie będę pisywać, nie będę i bywać, aby trucizną wzrok jej dla mnie nie był. Nie będę już w domu waszym, bobym sobie przypomniał okrutność losu mego. Niechże was zawsze jednak opatrność najwyższa błogosławi, a więcej już i pisać nie mogę«.

*Tadeusz* <sup>1)</sup>.

Zacna matrona po odczytaniu tego listu zasępiła oblicze, a dwie łzy spadły na podpis jego imienia. Tocią, która zbladła uważała każdy ruch matki, widząc te łzy, porwała list i zaczęła czytać. W miejscu, gdzie znalazła wątpliwość o swem przywiązaniu, uśmiechnęła się rzewnie, pokiwała główką, a gdy skończyła, pobiegła do swego pokoju. Tu drżącą ręką skreśliwszy kilka wyrazów, zwiniętą kartkę podała przyjaciółce, która i od siebie dodawszy przypisek, doręczyła ją Kniżnie-

---

<sup>1)</sup> Tak ten list, jak wszystkie przytoczone poniżej, są wiernie przepisane z autografów Kościuszki.

wieczowi. Widać, że potrafiła wszelkie usunąć podejrzenia w sercu Kościuszki, bo nad wieczorem, obydwie czytały następny bilecik, zaadresowany do dwóch Teklusiów<sup>1)</sup>).

»Nie wiem, do kogo mam napisać, czy do pierwszej Teklusi, czy do drugiej: ale to wiem, że pierwszą kocham, a drugiej największym jestem przyjacielem. Obiedwie mnie coś wyrzucają, do czego nie czuję się. Do pierwszej sposobności nie miałem pisać i przez Kniaziewicza teraz odpisuję; druga oskarżać siebie powinna, że w zapomnienie puściła przyjaciela tak dobrego. Powiadają mi, że Orlewska dobrodziejka już się zapatrzyła na jednego, i ten zranił jej serce do miłości. Tekluniu! gdy będziesz pisać, przyślij mi razem jeden koral z szyi twojej. Niech Opatrzność w płaszcz szczęścia zupełnego obwinie ciebie, a o mojej stateczności, szacunku, uszanowaniu bądź zawsze przekonana«.

*Tadeusz.*

Po przeczytaniu tych słów obie przyjaciółki z uśmiechem radosnym spojrzały sobie w oczy, ujęły się za ręce i tak stały, gdy weszła panna Brygida. Podały jej list generała: ciotka skończywszy go cały:

— Zacny kawaler! — wyrzekła — godny twojego serca Tociu, a tajemnica Tekluni nie ukryła się przed nim!

Prezes, widząc ciągły smutek żony, dał na

---

<sup>1)</sup> Tekla Żurowska i Tekla Orlewska.

wotywę do Fary, której pobożnie wysłuchał z całą swoją rodziną.

Był to dzień sobotni, dzień poświęcony Matce Boskiej: osłabiona matrona modliła się gorąco do tej orędowniczki smutnych, sierót i opuszczonych. Za powrotem z kościoła, Żurowski prosił siostrę, aby sutą przygotowała kolację, bo cały sztab generała będzie wieczorem.

— Panienska moja, dzięki Bogu! zdrowsza — mówił — potrzeba jej rozrywki! to ją orzeźwi; idę zaprosić także pocziwego doktora.

Panna Brygida pospieszyła do swej siostrzenicy, aby ją o tem uwiadomić.

— W niezwykle dobrym humorze uważałam pana brata: nie wiem, co się święci, ale panny dopomóżcie mi, żeby wystąpić należycie i wzywam was do siebie na sejmik.

Kiedy we trójkę radziły o przysmakach kolacyi a stary kucharz Franciszek w białej szlafmocy, z fartuchem i nożem za pasem, oczekiwał na rozkazy, prezes już wracał od doktora, gdy usłyszał tętent koni i gwarną, wesołą rozmowę.

Jechał na czele Raciborski, wywijając na wszystkie strony zgrabnie swoim wierzchowcem. Za nim rotmistrze Potocki i Zaremba, na ostatku zaś z opuszczoną na piersi głową, zadumany i milczący Kniaziewicz. Na widok prezesa pospieszyli do niego, witając go serdecznie.

Żurowski uściśnął podane sobie dłonie, a Kniaziewicza prosił, że ma z nim na uboczu pomówić. Zeskoczył więc z konia, oddał go luzakowi i gdy obaj rotmistrze z Raciborskim po przyjęciu za-

prosin na wieczerzę odjechali galopem, prezes, trzymając pod rękę Kniaziewicza, zawrócił do zwierzyńca i długą rozpoczął rozmowę. Snać treść jej nie była smutna, bo młody wojak z rozjaśnionem obliczem skoczył na siodło i z kopyta się puścił. Ale osadził konia w miejscu pod oknem otwartem mieszkania prezesostwa, bo w niem stała panna Tekla i powitała go wdzięcznym uśmiechem.

## VII.

Duży stół, przybrany kwiatami, zastawiony był ciastami i opleśniałemi butelkami węgryna. Żurowski, przybrany w kontusz granatowy, żupan perłowy, pas srebrzysty i buty pąsowe, przypominał stare wizerunki polonusów. Panienska jego, blada po chorobie, z uśmiechem wdzięcznym spoglądała na dorodną postać swego Macieja, który, chodząc po obszernej sali, co chwila zbliżał się do jej fotelu i całował jej rękę.

Panna Brygida, skromnie przybrana, miała tylko we włosach małą wiązanekę niezapominajek. Tucia i jej przyjaciółka, aby się kochanej ciotki przypodobać, temiż kwiatkami przystroiły bujne swe warkocze.

Chociaż wszyscy milczeli, radość malowała się na obliczu każdego, jakby anioł szczęścia i spokoju powionął białemi skrzydłami w tej komnacie, dawny smutek wygnał, a zwabił nieznanne wesele do serca każdego.

Najwcześniejszym gościem okazał się doktor, którego wszyscy serdecznie powitali. Stakenszmitt cieszył się widocznym polepszeniem zdrowia zanej prezesowej, zbadał jej puls, popatrzył w oblicze i mówił z uśmiechem:

— Teraz wracamy do zdrowia powoli: już i rumieńczyk wybija się pięknie, niedługo będziemy czerstwi, jak dawniej, bo choroba, to brzydka rzecz.

Kiedy kończył te słowa, szable w przedpo-koju zabrzękły, Walenty drzwi roztworzył i na czele orszaku oficerów ukazał się Kościuszko.

Prezesowa wzruszona, nie mogąc wyrzec słowa, pochwyciła rękę męża, a całując, skropiła ją łzami; panna Brygida i Tekla mimowolnie zawołały:

— A, pan Tadeusz!

Tocia, ujrzawszy go, zbladła, wkrótce odzyskała rumieniec; radość i szczęście zajaśniało w jej oczach i obliczu. Generał, którego serdecznie powitał Żurowski, pospieszył do osłabionej prezesowej, przykląkł na kolano, a ujawszy jej ręce i całując, patrzył oczyma pełnemi łez w jej twarz, jak się rozjaśniała niezwykłym weselem. Prezesowa ujęła głowę klęczącego, a całując szepnęła:

— Mój synu, pociesz biedną Tocię!

Wszyscy byli głęboko poruszeni tym holdem i czcią, jaką złożył generał zanej matronie. Doktor, porwawszy silnie za rękę prezesa i surowo nań patrząc, w milczeniu wskazał na klęczącego generała. Stary kredencarz Walenty, co

stał w końcu sali, rozplakał się i uciekł do przedpokoju.

Kiedy wszyscy milczeli, pierwszy przerwał gospodarz i rzekł:

— Bóg mnie dotknął chorobą mojej panienki, ale dzięki mu, i staraniu a nauce szanownego doktora wraca do zdrowia. Chciałem, aby grono życzliwych przyjaciół podzieliło ze mną moje szczęście i radość. I jesteśmy wszyscy razem, aby uczcić ten dzień....

Ale wzruszony, dalej mówić nie mógł i odwrócił głowę, żeby ukryć łzy.

Kościuszko z rzewnem uczuciem zbliżył się do Toci i powitał ją po długim niewidzeniu. Usiedli przy oknie oboje na małej kanapce a ciotka z rotmistrzem i panna Tekla z Kniaziewiczem tak miejsca zajęli, że oboje ukryci przed wszystkich oczyma, swobodnie mogli rozmawiać. Rotmistrz Potocki i doktor, jakby podmówieni, bawili gospodarstwo; radość prezesa była nieopisaną, gdy usłyszał pierwszy głośny serdeczny śmiech swojej panienki.

— Widzisz, panie Macieju! — szepnął mu doktor — co to może wesele serca! patrz na oblicze żony, a ożywione spojrzenie, rumieniec na twarzy, jak ładnie wygląda! To najlepszy doktor i najpewniejsza apteka!

Panna Brygida dała znak do wieczery. Usiedli wszyscy do stołu: generał znalazł się obok Toci, Tekla przy Kniaziewiczu, Zaremba przy panie Brygidzie. Doktor obok prezesowej, przy nim gospodarz, a naprzeciwko zajął miejsce rotmistrz



Potocki razem z Raciborskim. Walenty, obnosząc potrawy, gdy się zbliżył do generała, pocałował go w ramię, który ścisnął pocziwego starca za rękę. Kiedy prezes nalał kielich wiwatowy i miał wznieść go w górę, nagle pod gankiem zabrzmiała kapela wojskowa. Była to niespodzianka, urządzona przez Kniaziewicza i Zarembę z Raciborskim. Zagrała znany i ulubiony marsz króla Sobieskiego z pod Żurawna.

Żurawski zadrżał na tę nutę, tak dobrze sobie znajomą, postawił pełny kielich na stole, zapal niezwykły zajaśniał mu w oczach i wtórując kapeli, zaczął silnym a dźwięcznym głosem śpiewać dawną pieśń na chwałę króla Sobieskiego przywiązaną do tej nuty. Zawtórowali mu Potocki Zaremba, Kniaziewicz i Raciborski: połączyły głos swój prezesowa, panna Brygida i Tekla. Chór ten brzmiał donośnie, a kapela słysząc go, z nowym przygrywała zapalem. Tylko pan Tadeusz i Tocia, patrząc na siebie wymownym wzrokiem, milczeli.

Pieśń się skończyła... kapela ucichła. Prezes wybiegł uradowany na ganek i rzucił dla niej tuzin dukatów w sakwie jedwabnej. Walentemu kazał dać częstunek suty, a sam kłaniał się i dziękował serdecznie. Kapela tak hojnie nagrodzona i gościnnie przyjęta, w końcu kolacyi wesoło zagrała »chmiela«.

Prezes po wzniesieniu zdrowia króla Jegości, przesławnej Rzeczypospolitej, wojska, zdrowia generała i jego towarzyszków broni, rozochocony, gdy usłyszał ludową weselną pieśń o chmielu,

z kielichem ukląkł przed swą panienką, odśpiewał parę zwrotek tej pieśni, a potem całując jej rękę, mówił z serdeczną radością:

— Panienko moja! duszko złota! czy słyszysz, co grają? Wszak ci to i na naszym weselu grano i śpiewano przy twych oczepinach chmiela. Dobrze to były czasy i panienska moja pewnie w żywej je zachowała pamięci...

Chciał coś więcej mówić, ale z wdzięcznym uśmiechem zacna matrona białą dłonią zakryła mu usta, szepnąwszy z cicha:

— Cicho, Maciusiu! chcesz za wiele mówić.

Do północy bawiono się wesoło; prezes ścisnął wszystkich i całował. Doktor dał znak rozejścia się, żeby chorej zbyt nie utrudzić.

Wszyscy przespali tę noc smaczno. Zaremba chwając się, mówił, że spał jak suseł; nawet generał obudził się dopiero o siódmej rano. Zanim wyjechał na przegląd kawaleryi, przybyłej świeżo do Międzyborza, pisał coś długo; a kiedy wpadł Kniaziewicz, prosił go, aby doręczył list chorążance — jak zwali Tocię — bo prezes nosił w sąsiedztwie tytuł chorążego. Ten spełnił jego życzenia a Tocią z radością czytała następujące wyrazy:

»Powiedz swoje zdanie, Teklusi!

*Do Jaśnie Wielmożnego Chorążego.* Od JW. Pana zawisł mój los, w jego ręku uszczęśliwienie moje. Zapewne poznajesz, że kocham JW. Chorążankę, a że chciałbym być jej przyjacielem dozgonnym, jemu się zwierzam. Znam sentymenta jego, charakter i sposób myślenia, zupełnie się spuszczam na jego układ, wołam urzędzenia. Wiem,

że uszczęśliwiając jedną osobę, nie zapomnisz o drugiej. Jeżeli pozyskam jego aprobatę, a która z pierwszego poznania, wraziwszy w sercu moim winne mu uszanowanie, chciałaby przydać przywiązanie synowskie aż do śmierci. Nie omylisz się JW. Pan Dobrodziej w niej w niczem. Zawsze otwartość z prawdą idzie, nie obojętność albo uleganie do okoliczności, ale wdzięczność w każdym czasie nieprzerwanie za dobrodziejstwo jemu skazane«<sup>1)</sup>).

List ten napisał wskutek tak serdecznego wczorajszego przyjęcia i narady zobopólnej z chorążanką. Pochwaliły ten zamiar matka, panna Brygida i Tekla. Tocia odpisała, że myśl dobra i potrzeba przyspieszyć nadesłanie takiego listu.

Kościuszko jeszcze tego dnia go przepisał i przez Kniaziewicza posłał, ażeby doręczył go prezesowi. Sam rozdrażniony — w oczekiwaniu, siadł na konia i wyjechał za miasto.

Śliczne okolice Międzyborza, świeży powiew wiosenny wpłynęły na jego uspokojenie. Wrócił do kwatery już późno wieczorem, ukończywszy przegląd dwóch szwadronów jazdy, a stary Jędrzej doręczył mu kartkę od Kniaziewicza w tych słowach:

»Generale! doręczyłem twój list prezesowi. Nie rozpieczętował go przy mnie, ale oświadczył, że później nań odpisze. Był uprzejmy jak zwykle i gościnnie, ale więcej zasmucony.

*Karol.*«

---

<sup>1)</sup> Dosłownie z oryginału Kościuszki.

### VIII.

W kwaterze rotmistrza Zaremby na rynku Międzyborza ruch był niezwykły. Uwijało się kilku szeregowców, Raciborski biegał po mieście, a Janusz Gil ze szwadronu rotmistrza, który oprócz zalety, że wybornie grał na trąbce, był zawołanym kucharzem, uwijał się żwawo po obszernej kuchni przy wielkim ognisku komina z przewiazaną głową, z zakasanemi rękawami i białym u pasa fartuchem i kuchcikowi oraz dwom rekrutom wydawał rozkazy.

Mała kupka kartofli, jarzyna wówczas osobliwa, leżała na stole. Zaremba wydał mu szczegółowe rozporządzenie co do ich przyprawy a nauczył się tego w obozie konfederackim. Przyślano jako dar osobliwy Kazimierzowi Pułaskiemu woreczek kartofli i oddano jego kucharzowi. Ten w głowę zachodził co z niemi zrobić, ale w końcu wpadł na wyborny koncept, obrał z łupiny, ugotował i podał z jajecznicą. Wszyscy nie mogli się odchwalić smaku nowej potrawy i nasz rotmistrz wtedy razem ją pożywał: pamiętał więc dobrze, jak się obejść z kartoflami.

Stary Walenty po kilkakroć przychodził i przynosił od p. Brygidy to w imieniu pani prezesowej, to chorążanki rozmaite przysmaki do przykrasy uczty, jaką dziś dawał Zaremba.

Z Warszawy przyjechał do Międzyborza poseł z sejmu Morski, przyjaciel i wielbiiciel gorący Kościuszki. Rotmistrz, który go znał od lat mło-

dych, dla uczczenia milego gościa podejmował go »kawalerskiem śniadaniem«.

Około południa w gronie znanych nam oficerów, szedł w polskim stroju z szablą u boku Morski. Piękna jego postać odbijała od urodnych wojaków. Dobrego wzrostu, średniej tuszy, okazałe w kontuszu i żupanie wyglądał. Czapka rogatywka okrywała podgoloną głowę. Wąs sumiasty ozdobił oblicze pociągłe, wdzięczne i czerstwe. Rotmistrz już czekał przy wejściu na wschody na swego gościa.

Na pierwszym piętrze stał Zaremba: miał dużą komnatę o dwóch oknach z gankiem na rynec, a przy niej dwie alkówki. Na środku komnaty był już stół suto zastawiony: smak tu kredenczerza Walentego odbijał. Kwiaty z ogrodu doktora ozdobiły środek, przy nich stały konfitury rozmaitego gatunku, dar to panny Brygidy i Toci. Pomiędzy nakryciem przed honorowem miejscem stały dwa opleśniałe gąsiorki węgryzyna, przyslane z piwnicy prezesa, który z powodu lekkiej słabości bytności swej odmówił. Kościuszko od kilku godzin wyjechał był do Połonnego po długiej rozmowie z Morskim.

Po przepiciu wódką gdańską i zakąsce to-  
 ruińskim piernikiem zebrane towarzystwo zasiadło do stołu. Morskiego posadzono przed gąsiorkami, a gospodarz dał znak, aby przynoszono z kuchni. Walenty po obsłudze państwu swemu zdażył na czas do pomocy rotmistrzowi i sam obnosił potrawy.

Kawalerskie śniadanie rozpoczął barszcz, gotowany na wołowinie i wieprzowinie: po nim

dano wyborne kiełbasy z zawiesistym sosem, dar pani burmistrzowej Międzyborza, która niedawno zabiła wieprza, a jako daleka krewniaczka rotmistrza nadesłała spory ich zapas. Teraz wniesiono na półmisku ogromnego szczupaka po żydowski: wszyscy nie mogli dość go nachwalić. Było to arcydzieło trębacza Janusza, który przyprawy tej ryby nauczył się już w Międzyborzu od młodej arendarki z austeryi pani Mordkowej. Po szczupaku podano *raritas*, jak się wyrażał Zaremba: kartofle z jajecznicą, zakończyła sutą ucztę ogromna pieczeń huzarska, po której gospodarz częstował słodyczami. Ale obecni zaledwie je pokosztowali; jeden Raciborski co się niemi obficie uraczał.

Rozmowa nie szła składnie, bo wszyscy przy dobrym apetycie najprzód głód zaspakajali. Ale przy wetach i po czystym węgrynie rozwiązały się usta. Przyniesiono czarną kawę i fajki.

— Teraz — mówił gospodarz do Morskiego — mój panie Piotrze, opowiedz nam nowiny stołeczne. My tu na »partykularzu« siedzimy, jak mnichy klasztorne.

Raciborski parsknął śmiechem i o mało się nie zadławił konfiturami, które zajadał łakomie. Kniaziewicz zawtórzył mu radośnie, Potocki uśmiech chciał ukryć, a Walenty odwrócił głowę i usta zasłonił serwetą.

Zaremba z początku poczerwieniał, ale potem zaczął śmiać się serdecznie.

— A żeby was kurki podziobały — mówił pocziwy wojak — nie ukryć przed nimi nie można.

Morski, który nie wiedział powodu tak nagłej wesołości, ale więcej się domyślał, rzekł do gospodarza.

— Ej! Stasiu! zaczyna szydło wylażić z worka! Zapewnie śliczne habrowe oczka panny Orlewskiej zraniły serce konfederata!

Raciborski na nowo parsknął śmiechem i kończąc kieliszek węgryna, o mało co się nie zachłysnął. Rotmistrz Potocki poważnie nastroił oblicze, ale Zaremba zaczął się śmiać tak radośnie, że Morski zmiarkował, iż się pomylił w swoich domysłach. Rzucił okiem na Kniaziewicza: młody porucznik siedział obłany rumieńcem, jakby na rozpalonych węglach; sam nie wiedział, co z sobą robić, czy dzielić radość swoich towarzyszy, czy milczeniem pokryć odpowiedź.

Ale doświadczony poseł łatwo odkrył, co się w sercu jego działo, ujął więc kieliszek i rzekł:

— A więc piję zdrowie nieznannej bogdanki naszego gospodarza.

— Za pozwoleniem — mówi Zaremba — takie zdrowie wypijemy z zapleśniałego gąsiorka.

— Ja tego zdrowia pić nie mogę — zawołał Raciborski.

— A to dla czego? — pyta gospodarz, patrząc surowo i groźnie w oczy kadetowi.

— Bo nie chcę kłamać, zwodzić pana posła — odrzekł — my kochając szczerze naszego zacnego rotmistrza, znamy dobrze jego bogdankę! Wymieniam więc ją głośno: Wiwat panna Brygida Żurowska!

Zaremba ochłonął z wzrastającego już gniewu; rozchmurzyło się jego szlachetne oblicze, odetchnął tak swobodnie, jakby mu spadł kamień z piersi, pobiegł do Raciborskiego, a ściskając go serdecznie w swoich objęciach, zawołał:

— Teraz pijmy! niech każdy wychyli zdrowie tej, co kocha!

Morski podniósł poważnie puchar w górę i rzekł:

— Moja bogdanka z dwojgiem aniołów w mogile schowana. Jestem sam wdowiec i więcej ślubów małżeńskich nie powtórzę! Ale jestem na służbie Rzeczypospolitej — to nasza wszystkich bogdanka. Przed wszystkiemi wnoszę jej zdrowie!

Toast ten wychylono z zapalem.

— Szkoda, że nie ma w naszym gronie naszego generała — mówił Kniaziewicz, ochłonawszy ze wzruszenia. —

— Smutny i smutny zawsze! — dodał Potocki.

— Nasze życie, to nie jak wianki wić, moi przyjaciele — rzekł poseł. — Byłem świadkiem niedawno wielkiej radości w stolicy; bogdajbym nie patrzył i na wielki smutek. Zbierają się groźne chmury na pogodnym dotąd niebie: czy Bóg zażegna burzę, to przyszłość pokaże.

Biedny Tadeusz! od pierwszej młodości doznaje ciężkich zmian losu! Zyskał sławę, piękne imię, a troska trzyma się go tak wiernie, jak szabla. Nie uwierzycie, z jakim zapalem wspomniano go w czasie sejmu. Wszyscy mówili o nim, wyliczali waleczne jego czyny w Ameryce, które



mu zjednały przyjaźń i szacunek dwóch największych ludzi w świecie: Waszyngtona i Lafajeta!

— A my go zarówno szanujemy, jak kochamy — rzekł Zaremba — dalej towarzysze za zdrowie naszego generała.

Raciborski w tej chwili wbiegł do alkowy i dał znak, powiewając chustką.

Kiedy wzniesiono kielichy, naraz huk moździerza zabrzmiał i wystrzały ręcznej broni!

— Co to jest? — krzyknął gospodarz.

— Tak się pije zdrowie naszego generała — odrzekł spokojnie Raciborski — bo w dymie prochowym, przy huku armat jego imię na nowo się uświetni!

Zaremba porwał za szyję kadeta i ucałował w głowę:

— Miałem cię za kroguleczyka — mówił rotmistrz, rozrzewnionym głosem — a ty zaczynasz porastać w orle piórka. Ale zkądżeś u djaska wziął moździerza?

— Pożyczyłem go od księdza proboszcza od Fary, co go chowa na rezurekcyą wielkanocną. Przecież wiesz, rotmistrzu, że nasza artylerya o dwie mile jest na leży.

Rozruch, który powstał w mieście po tych strzałach, wkrótce się uspokoił.

Walenty wcześniej wybiegł i uprzedził panią swoją i panny, ażeby się nie przestraszyły.

— Cóż tam? bawią się wesoło? — zapytała kredencera panna Brygida, zawezwawszy go do pokoju Toci.

— Bardzo wesoło... to nie powiem, ale ochoczo — odrzekł Walenty.

— A czyżeż zdrowie pili?

— Pierwsze wypili panny Brygidy Żurowskiej, a naszej kochanej pani — i to mówiąc, pocałował ją w rękę.

Zakraśniała żywym rumieńcem pocziwa ciotka, ale ochłonawszy ze wzruszenia, chciała dalej indagacye prowadzić, kiedy rozległ się huk moździerza i ręcznej broni, a Walenty zawołał radośnie:

— Teraz piją zdrowie naszego kochanego generała!

Wymówiwszy te słowa, rozplakał się jak dziecko i ze zwieszoną głową wyszedł do przedpokoju!

Tocia, Tekla i ciotka wbiegły do sali, gdzie siedziała z mężem prezesowa.

— Huczne kawalerskie śniadanie — mówił z uśmiechem Żurowski — wesoło się bawią.

— Gdzie generał? — zapytała matka.

— Od rana, wyjechał do Połonnego; tak mi mówił Kniaziewicz — odrzekła panna Brygida.

— No! moje panny, zaczniście się powoli pakować — mówił poważnie prezes — bo niedługo opuścimy Międzybórz. Wracamy do swoich Ihnatowic, tam będzie nam wygodniej, bo wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej. I doktor poleca to matce i oszczędność każe, bo sakiewka coraz chudnie.

— Jak prędko wyjedziemy, panie bracie?

— Dnia jeszcze nie wiem, ale niedługo, niedługo!

Tocia z przyjaciółką zbladły obydwie na pierwsze słowa ojca, ale odetchnęły swobodniej, gdy wyjazd ten był jeszcze niepewny i odwleczony.

Panna Brygida zasępiona wyszła do swego pokoju, gdzie spotkała kredencera, siedzącego w kącie na kufierku, osowiałego i zadumanego.

— Pocziwy mój Walenty — rzekła drżącym głosem — niedługo opuszczamy Międzybórz!

— Wiem, wiem o tem — kiwając smutnie głową, mówił starzec. — A co się stanie z naszym generałem i z naszą kochaną panienką?

— Niech Bóg się nimi i nami opiekuje, szukajmy w modlitwie pociechy i pomocy, mój kochany Walenty.

## IX.

Nie zaniedbał Morski nazajutrz odwiedzić i złożyć swego uszanowania prezesostwu.

Żurowski rad był wielce posłowi sławnego sejmku, który ogłosił pamiętną ustawę trzeciego maja. Z zajęciem słuchał opowiadań Morskiego i natężył uwagę szczególnie, gdy tenże z zapalem mówił, jaki rozgłos miało imię Kościuszki na tym sejmku.\*)

---

\*) „Wiem, że Morski z entuzjazmem o mnie by gadał z przyjaźni i szacunku, cokolwiek słyszał i widział na sejmku o mnie, że byli łaskawi, chociaż nie zasłużyłem.“ (Z listu Kościuszki do Tekli Żurowskiej.)

Morski przeszedł następnie do dworu króla Stanisława, uczonych czwartkowych obiadów; malował wymownie postacie zasiadających na nich literatów, powtarzał liczne dowcipy, które z zamku wybiegały na miasto, a stąd po całej Rzeczypospolitej.

— Nie uwierzysz, szanowny prezesie, że i moje imię stało się powodem głośnej anegdoty. Krewniak mój, ksiądz kanonik Morski, był zaproszony przez króla i potrafił zwrócić uwagę jego tak przez naukę, jak i gładką wymowę. Szambelan Węgierski, uwijał się właśnie po sali, gdy król Jegomość, chcąc go zapoznać z kanonikiem, zapytał, czy zna księdza Morskiego?

— Najjaśniejszy Panie! — odrzekł poważnie szambelan z miną zadziwioną — widziałem ciełe morskie, znam konia morskiego, ale księdza morskiego jeszcze nie widziałem!

Uśmiechnęła się prezesowa, gospodarz rozjaśnił posępne ciągle oblicze i jakby od niechcienia zapytał, co też porabia na dworze jego dawny znajomy, szambelan Ignacy.?

Morski spokojnie odrzekł:

— Obecnie jest w niełasce króla za popełnione niemałe grzeszki. Pozbawiony pensyi, przejadłszy dwie fortunki, spadłe na niego przez sukcesyę, jeździ po szlachcie, okłamuje ją, do czego ma talent osobliwy i pod pozorem, że jedzie odbierać jakiś ogromny spadek po babce na Ukrainie pożyczka pieniędzy, których oczywiście nigdy nie odda.

Prezes zbladł ze wzruszenia i gniewu, że dał się tak łatwo uchwycić w sidła, zastawione przez oszusta i odwrócił głowę od okna, aby ukryć swe pomięszanie. Morski mówił dalej:

— Nie tylko w zamku królewskim, ale i w stolicy nie tak prędko będzie się mógł pokazać. Z zamku wyrzuciła go niełaska monarsza, a w Warszawie czekają nań inni... aby go uścisnąć serdecznie...

I wymownym ruchem ręki dał do poznania, jakie miały powitanie.

Żurowski ledwie mógł dosiedzieć na miejscu, gdy wszedł Kniaziewicz: zerwał się przeto na jego powitanie, a po chwili wybiegł do sypialnej komnaty, po której przechadzał się szybko, aż zmęczony usiadł przy otwartem oknie. Powiew świeży orzeźwił go i uśmierzył wzburzenie. Ze spokojnem obliczem wrócił do swoich gości.

Kniaziewicz przy powitaniu Toci zręcznie jej doręczył mały liścik generała.

Dziewczę, skraszone rumieńcem, poskoczyło do swej komnatki i czytało następane słowa:

»Niech matulce i jej Teklusi szczęście zawsze jak najlepsze służy: dla jej dobra niech się wszystko stanie podług jej życzenia i myśli. Życzę i z serca powiadam, widzieć jak najszcześniejszą byłoby mi to wielkiem ukontentowaniem. Niech niebo matkę i córkę błogosławi, niech i ojca, chociaż nieprzyjaznego mnie, szczodrem zleje bogactwem zdrowia. Życie wszyscy w zgodzie, w przyjaźni, szczęśliwi, a mnie pozwólcie, abym przynajmniej zapatrywał się. Wznaszam teraz ręce

z ufnością prawdziwą, że moja modlitwa przyjętą będzie. Dobra noc, niech sen wam przyjazne objekta do upodobania stawi, niech nic nie przerwie snu dobrego. Całuję nóżki wasze

*Tadeusz.*“

Po przeczytaniu całego tego listu, zażwały się jej oczy, ciężkie westchnienia pierś podniosły, gdy usłyszała głos ojca, na który zadrżała... Otarła co prędzej oczęta, schowała liścik i spokojna powierzchnie wróciła na salę.

Niedługo weszli Zaremba i Raciborski; rotmistrz Potocki, został u generała na kwaterze. Ożywiło się towarzystwo. Młody kadet usiadłszy przy prezesowej, opowiadał jej szczegóły «kawalerskiego śniadania» i swoje wypadki, że się mało nie udławił i nie zachłysnął z powodu panny Brygidy i rotmistrza Zaremby. Śmiała się tak serdecznie rozweselona opowieścią Raciborskiego, że prezes uradowany jej humorem, zbliżył się do niej, a całując jej rękę, prosił kadeta o powtórzenie przygód przy śniadaniu.

Zaremba tymczasem, w jak najlepszym humorze, opowiadał panie Brygidzie, jak tajemnicę jego serca wydano, ale rad jest z tego, bo otwartość lubi, równie jak i szczerłość żołnierską.

Gdy Orlewska na uboczu z cicha rozmawiała z Kniaziewiczem — Tocią bawiła posła, który jej opowiadał wiele nieznanych szczegółów o Kościuszcze. Wreszcie chodząc po sali, weszli na ganek, tu Morski zniżył głos i długo mówił, a chorążanka słuchając go, bladła i czerwieniała na przemiany,

wreszcie podając mu rękę, którą ucałował z uszanowaniem, rzekła spokojnym głosem:

— Uważałam to nad moje siły, lecz wzmocniona pana posła radą i zachętą, spełnię odważnie. Ale proszę, niech to zostanie dla wszystkich głęboką iajemnicą.

Wcześniej rozeszło się zebrane towarzystwo. Matka po modlitwie już snem spokojnym zasnęła; wszyscy spoczywali, dwie tylko osoby czuwały, trawione niepokojem. Żurowski chodził po sali zamyślony i Tocia, w kąciuku ukryta, która niespodzianie przed nim stanęła, a rzuciwszy się na kolana, gorącymi łzami oblewała jego rękę.

Co Tocia mówiła zalkanym głosem, nikt nie dosłyszał, bo i ojciec cicho odpowiadał — z początku surowo, a potem padłszy na kanapę, nie mogąc dziewczęcia od nóg swoich oderwać, płakał z niem razem.

Po północy blada, zmęczona, przeboleła wróciła do swej komnatki. Lampka nocna rzuciła słabe światło, przy niem ujrzała oblicze spokojne, uśmiechnięte swojej przyjaciółki.

— Szczęśliwa! — szepnęła do siebie — może śmiało marzyć o swej miłości i o Karolu... ich związkowi nic nie stoi na przeszkodzie.

Uklękła przed obrazem Bogarodzicy, a po gorącej modlitwie, padła bez siły na posłanie i wkrótce sen młodości zakleił jej oczy, serdecznymi łzami zroszone.

Nazajutrz powrócił do Międzyborza Kościu-

sżko, a Walenty doręczył mu liścik, pisany ołówkiem drżącą ręką, który zaledwie zdołał przeczytać\*).

Stary kredencierz uwiadomił go, że panna chorążanka leży słaba, że nawet znacznie zmizerniała. Generał prosił go, aby przyszedł niedługo, bo odpisze.

Pełen niepokoju usiadł i skreślił następne słowa:

»Oddaję Ci wzajemnie, ale łzami skropione  
»dobranoc«. Lękam się o twoją matkę, niechże ona się nie gryzie na przymówki, albo impet dobrego, lecz niespokojnego umysłu, dla swej choroby. Niech pamięta, że ma dzieci, dla których zdrowie swoje szanować powinna. Uściśnij ją serdecznie, jak ciebie kocha, może dla ciebie uczyni: ucałuj ją szczerem serca przywiązaniem swoim. Ona cię przytuli dobrocią zwykłą swoją. Niech zaśnie dobrze, baw ją i rozrywaj, aby nabrała przychyl-nych do zaspania myśli. Ty, co tak czuła jesteś, zmniejsz ją, abyś nie traciła zdrowia, które dla wielu jest potrzebne. Lecz co za okoliczność wypadła, powiedz mnie, abyś tak razem zapadła i u nóg ojcu leżała. Powiedz, proszę mój aniele, co ci powiadał, aby raził tak dalece serce swe tkliwe i sam potem płakał. O szczęściu mojem nie wiesz, że trwa na każdym miejscu dla mnie? Nie widzę tego, ale nawet na każdym miejscu nie życzę. Miałaś mi wiele napisać, co się stało pomiędzy tobą a ojcem. O tem wszystkim

---

\*) „A propos, pisz wyraźniej, gdyż połowę utracam ukontentowania, albo jeśli napiszesz ołówkiem, umocz w wodę, to się litery nie stracą.“ (List T. Kościuszki do Tekli Żurowskiej).



nie nie wiem. Nie wiem o twem zdrowiu jak się masz teraz? Co myślisz nawet, radbym wiedzieć, radbym nawet być w sercu twojem i ogarnąć sercem moim całą. Każdy moment o ciebie niepokojnym mnie czyni. Radbym przewidział myśl twoją i zaspokoić do ukontentowania twego. Co do mnie, wszystek drzę, ale nie od zimna, lecz z wewnętrznej niespokojności, cały mój umysł pomieszany, gorycz w mem sercu, i czuję gorączkę, szarpiącą me wnętrzności. Idź spać, i zaśnij w myślach tobie miłych i zdrowszą widząc matkę, przytul głowę do spokojności poduszek, okryj się pełnem duszy ukontentowaniem, a otwórz swe piersi z sercem do ucałowania przezemnie, nadstaw i ust choć delikatne, nie obrażę mem pocałowaniem z przywiązania. Oddaję się tej opatrznosci, która nam wszystkim jest dobroczynną. Jeszcze raz niech cię pocałuję: odchodzę, bo w myślach zawsze przytomnym jestem ciebie: daj nóżki, jeszcze raz bywaj zdrowa \*).«

Na wiadomość o słabości chorążanki nadbiegł doktor Stakenszmitt, zbadał uważnie stan chorej, szepnął kilka słów do ucha, na które skraśniała rumieńcem, ale i uśmiechnęła się rzewnie.

Otoczona troskliwością matki, panny Brygidy i przyjaciółki, orzeźwiała, gdy Walenty nieznacznie podał jej powyższy liścik generała. Po przeczytaniu schowała go troskliwie, aby nikt nie wiedział o bolesnej scenie z ojcem, który teraz nadzwyczaj pokazał się czułym.

---

\*) Dosłownie z autografu T. Kościuszki.

— Miej nadzieję, moje dziecię! może Bóg dozwoli, że się wszystko odmieni na szczęście twoje — szepnął jej, odchodząc, a te słowa więcej pomogły, jak wszystkie lekarstwa.

W godzinę bowiem już ubrana siedziała na ganku, weselsza, lubo z przybladłem nieco licem.

Żurowski coraz większy niepokój utajał w sobie. Gryzł się oszustwem szambelana i stratą pewną dwustu dukatów, ale nie dowierzał Kościuszce, tem bardziej, że znów otrzymał list bezimienny z ostrzeżeniem, iż generał zamyśla o wykradzeniu córki. Znał jej miłość i przywiązanie, bo mu sama na kolanach wypowiadała się ze swych uczuć. Nie wątpił, że Kościuszko łatwo do ucieczki namówić ją potrafi. W liście tym szczegółowy miał opis przygotowań do uwiezienia chorążanki. Stracił głowę, wybiegał z domu, a robiąc tajemnice przed wszystkimi, sam śledził każdy krok córki i generala. Podchodził niby przechadzką pod dziedziniec jego kwatery, ukryty patrzył w otwarte okno od komnatki córki, czy nie ujrzy jakich znaków umówionych\*). Ale w kwaterze Kościuszki głęboki spokój panował; generał czasami siadywał na ganku zatopiony w smutnem dumaniu a w otwartem oknie ukazała się tylko panna Tekla, rzucając wiązanekę kwiatów Kniaziewiczowi i zobaczył dy-

---

\*) „Dziś uważałem, że się koło okna przechadzał u was i mocno się patrzył w stronę ku mnie: zapewne jest w podejrzeniu jakowem, ale myśleć źle o nas niepowinien, i sam siebie krzywdzi i nas.“ (Z listu Kościuszki do Tekli Żurowskiej).

gającą siostrę na głęboki, pelen uszanowania ukłon kłusującego rotmistrza Zaremby.

Te czaty zabrały mu kilka dni czasu.

Długo nie wahając się, powziął stałą myśl jak najrychlejszego wyjazdu do domu. Zaprosił więc tegoż wieczora generała i posła, wszystkich znajomych oficerów, a po kolacyi, spełniając staropolski zwyczaj: «Wiwat! kochajmy się,» oznajmił, że nazajutrz w południe już opuszczają Międzybórz!

Jak piorun uderzyła ta wiadomość Kościuszkę. Prezesowa i Tocia były do niej wcześniej przygotowane.

Zaremba i Kniaziewicz nagle posmutnieli, nawet zawsze wesoly i gotów do radosnego śmiechu Raciborski osowiał.

Żurowski, żegnając zebrane towarzystwo, rzekł z więcej rozpogodzonym obliczem:

— Chociaż się rozdzielamy, przyjaźń nasza zostanie, a każdego z was, gdy raczy odwiedzić moje skromne progi, przyjmę z otwartem sercem, chlebem i solą a z dobrą wolą.

## X.

— Konia! prędzej konia dawaj Janusz i siadaj na swego, — wołał rotmistrz Zaremba.

— Konia! — wołali razem, przed stajnią stojąc, Kniaziewicz z Raciborskim.

Potocki już siedział na swoim gniadoszu, który rżał radośnie i grzebał ziemię kopytem.

Przed kwaterą generała głęboki spokój panował. W komnatce panien było pusto. Tocia siedziała zapłakana z przyjaciółką swoją i odczytywała list Kościuszki z pożegnaniem

»Nigdy a nigdy o tobie nie zapomnę, mocno jesteś w mem sercu urażona, aby odmiana sprawić mogła przez czas i odległość: prędzej twoje zamieni się widokiem młodszych, grzeczniejszych i bogatszych, jak ojciec ma nadzieję: ale żartuje, twoje serce wiem, że tchnie duchem przywiązania. Twój umysł dalekim jest rządzenia się powierzchownością. Chcesz tylko szczerego serca, i masz go we mnie. Rozpatrz się jednak w charakterze moim, aby pomiędzy plotkami prawdy o mnie nie było, i pozwalam różnych użyć sposobów ale otwartych, inaczej wiem, że twoja dusza tak dobra, brzydziłaby się postąpić inaczej. Wyjeżdżacie do Kordonu\*), jak długo zabawić myślicie, polegam na waszej delikatności serca i charakterze. Jeżeli odmiana stanie się, chociaż przeciwna mnie, a uszczęśliwiająca moją Teklusię, lubo zapłacę, ale kontent będę losu jej. Uważaj dobrych dni promenady. Zabawiaj się z matunią, jak najlepszą powiem w świecie. Schył główkę na łono jej przywiązania dla ciebie, i zaśpij umartwienie z ucałowaniem zobopólnem i świętym zaufaniem jedna ku drugiej. Zabawiaj się czemkolwiek rysowaniem albo książką, czyli ogródkiem, abyś

---

\*) Tak nazywano po pierwszym podziale kraju Galicyą. Żurowski mieszkał w województwie podolskiem, ale miał zastawę w Galicyi, i tam właśnie wyjechał z Międzyborza.

zdrowia nie straciła, które jest darem największym natury. Szanuj zdrowie swoje, i niech szanuje matunia nasza dobrodziejka: użyj sposobów do wybicia z czucia jej wrażeń przykrych dla niej. Nie wspominam o sobie co mnie zadajecie ran z waszego niezdrovia! Bóg by dał, abyśmy żyć mogli razem! Bóg by dał, aby ojciec inszem widział mnie okiem, albo nie miał łatwowierności i niepowodowałby się przez drugich. Niebo z nami by było, uszczęśliwienie zobopólne, miłość, wdzięczność, uleganie i przywiązanie, jedno tylko widziane by było. Może poblądziłem w pisaniu do ojca, ale otwartość zawsze na to narażona jest. Nie umiem myśleć i mówić inaczej: prawda w sercu i w ustach moich jest zawsze, a każdy ma nieprzyjaciół mniej lub więcej.

»Do ciebie teraz obracam się matko dobrodziejko, i ucałowawszy stopy twoje, dziękuję za twe świadczone łaski: przyjmij nieskażone dla ciebie uszanowanie z serca szczerego pochodzące, przyjmij wdzięczność, która się z życiem moim skończy: przyjmij i szacunek, który tak wysoki mam.

»Trzeba cierpieć na świecie, bez umartwienia miejsca nie ma, i słodzić nam tylko potrzeba przychodzące. Mając serce tak czyste, charakter tak wielki, czucie tak delikatne, trzeba mieć wewnętrzną satysfakcyą, która jest najprzyjemniejsza: odrzucić potrzeba wszystkie martwiące rzeczy a zmniejszyć one rozumem swoim. Gdzież poszukać osoby, o którejby nie gadali, ale czystość sumienia ma swą nagrodę w duszy. Perswaduję ci matko

dobrodziejko, co sam wykonać nie zdołam, ale masz więcej cnót i przymiotów, których ja nie posiadam.

Da Bóg, tak się spodziewam, przy niewinności naszej, że szczypiące honor drugich żmijki w ciemności zawsze zostawać będą przed prawdą, której światłość zawsze im szkodliwa. Nocy im są przyjazne jak sowom lub nietoperzom, które szkodaż uśpionym niewinnym ptaszętom, ale dzień nadejdzie i znikną: dnia się zawsze trzymajmy, a Bóg nam dopomoże. Oddaję was opatrności, która i dla nich jest dobroczynna.

Jedźcie z moim życzeniem, a bądźcie zdrowi i wszystko nam się powodzić będzie. Zawsze z wami będę chociaż nieprzytomny: sercem i myślą. które będą stateczne!

Podłość nie przystaje do mnie, płaszczenie się równie, a nie mając nic do zarzutu, wesołym okiem podnieść głowę w górę mogę, ale nie pogardzającym na nikogo. Niech się stawi kto do zarzutu, a każdego zawstydzę, niech się nie boi zemsty: ale świadkami będę bronić się, i okażę prawdę, a nareszcie, jeżeli mam być zawsze w podejrzeniu, mam sprawiać zawsze umartwienie, uchylę się do wszystkiego, abyście byli szczęśliwymi. Boże daj wszystko co chcecie; ja spokojności życzę, życzę w przyjacielu, jeżeli otrzymam, znaleźć zobopólne zaufanie, przywiązanie, delikatność, czułość, tkliwość. Od głupich, zawistnych, złych, mściwych, zawsze będę mieszkać; w obrębie małych szczęśliwości żyć pragnę.

Zapytajcie się przecie uczeiwych ludzi i nie-

mających interesu: naprzykład księcia generała Czartoryskiego\*), Morskiego i innych w tej klasie: a jeżeli oni co złego o mnie powiedzą, wiercie wtenczas. Ale podle dusze, przyzwyczajone do zmieniania z wiatrem sentymentów swoich, aby miały wiarę? Ale wiercie, co chcecie, daję wam na wolę.

Macie rozum i piękny, możecie rozeznąć sami prawdę od fałszu, ja zaś kontent jestem, jak myślę i niechcę się zamieniać za żaden charakter tych wszystkich Ichmościów. Całuję nóżki Matki dobrodziejki. Ściskam was serdecznie, na zawsze z statecznością\*\*).«

Tocia po przeczytaniu tego listu, w którym z całą otwartością tak się wiernie odmalował, gorzkimi załala się łzami, bo na samym początku zrobił jej wyrzut, że go dla innych zapomni. Matka czytając, smutnie potrząsała głową, gdy zatętniła ulica i klusem wyciągniętym nadjechał rotmistrz Potocki, zeskoczył z konia i wbiegł do komnaty, gdzie zastał we łzach chorążankę.

Od panny Tekli Potockiej dowiedział się o powodzie smutku jej przyjaciółki, pożegnał więc na chwilę prezesową i pieszo pospieszył do kwatery generała. Niedługo wrócił i podał bogdance Kościuszki list, który z pospiechem odczytała:

Rotmistrz Potocki uwiadomił mnie, że byłem

---

\*) Książę Adam Czartoryski, jenerał Ziem Podolskich i dowódca korpusu kadetów w Warszawie, gdzie się kształcił Kościuszko i zyskał jego względy i szacunek.

\*\*) Podług autografu Kościuszki.

przyczyną łzów jej wylania. Tak drogie krople z pięknych źrenic, aby były zbierane z posądzenia mojego w mem czuciu największe sprawia unarwienie. Klękam przeto i całuję rączki póki jej nie prześlągam. Ale nie myśl, abym myśl miał kiedy oczerniać ją, tylko sposób otwartości mojej wrodzonej był skutek. Co widzę, myślę i słyszę, opowiedzieć osobie przyjaznej nigdy nie zaniedbałem. Teraz się poprawię, nigdy odkąd otwartości mojej do pani nie użyję, myśl nawet wstrzymaną będzie. Uszczęśliwienie drugich w największym u mnie jest poszanowaniu, i swoją sakryfikować jestem gotów i to tak szczerze powiadam jak, wierzę istności przedwiecznej, a dobroczynnej, dla nas. Daruj przeto mnie! Wznaszam tylko ręce, z prawdą uczciwego człowieka, abyś była szczęśliwą.

»Już się niebo wypogadza, życie bez żadnej przeszkody w zamysłach swoich. Niech żaden moment nie zasmuci panią. Miej ten szacunek i poważanie i miłość, jak teraz masz na zawsze. Niech koronuje wybrana miłość przywiązaniem stałym zobopólnie z obfitością pod myśl podpadających rzeczy. Niech nakoniec zdrowie, które wszystkim się staje dla człowieka, jeżeli nie może utrzymać na zawsze, utrzyma ją jak najdłużej. Zawsze się delikatnością w mych krokach wszystkich rządzić chciałem, a jeżeli przez ułomność zbłądziłem niech jej dobroć serca wrzuci to w studnię zapomnienia.

*Tadeusz* \*).<sup>c</sup>

---

\*) Podług autografu Kościuszki.



List ten, jeżeli nieco uspokoił chorążankę, z drugiej strony zabolął ją, gdyż w nim Kościuszko użył nie jak dawniej jej imienia, ale tytułował panią.

Ukryła jednak cierpienie, starała się przybrać wyraz spokoju na pięknem swoim obliczu.

Wszystko już było gotowem do drogi: Prezes, naglił, aby na nocleg wcześniej ściągnąć. Doktor matkę sprowadził ze schodów do pojazdu. Zaledwie wsiadły do karety, gdy usłyszano tętent koni i gwar głosów.

Pędzili galopem rotmistrz Potocki z Zarembą Kniaziewicz i Raciborski, który wszystkich na swoim siwku prześcignął.

Ruszyła kareta z miejsca i zwolna zwróciła się ulicą pod samą kwaterę generała. Kościuszko stał smutny w ganku i chustką oddawał pokłontoci, która się wychyliła przez okno karety. Chorążanka z zażawionemi patrzyła na niego oczyma i rzuciła mu wiązanek kwiatów: Kościuszko podbiegł, chwycił je, podniósł do ust i ujrzał kartkę na której olówkiem drżącą ręką napisała te słowa:

„Tadeuszu! wierną ci będę do grobu.”

Te słowa dziwnie nań oddziaływały:

— Konia! konia! prędzej konia, Jędrusiu! — krzyknął z niezwykłym zapalem, biegnąc do kwatery, ażeby przypasać szablę i płaszcz zarzucić, ale nim wyszedł na ganek, już białonóżka osiodłana w pogotowiu stała, a przy niej siwy Jędrus.

Kościuszko z rozjaśnionem obliczem wskoczył na siodło i wolnym stępem przejechał ulicę,

ale za Międzyborzem nacisnął ostrogami, a białonóżka jak wiatr pomknęła.

Pierwszy Raciborski bystrem okiem spojrzawszy za siebie, poznał pędzącego jeźdca. Zdziwiony zwrócił swego siwosza i podjechawszy bliżej:

— Czy masz co do życzenia, mój generale? — zapytał z uszanowaniem.

— Mój Józiu — rzekł z uśmiechem Kościuszko — zręczny jesteś! urządz tak, abym swobodnie mógł się widzieć z damami, ażeby mnie nie zobaczył prezes.

— Dobrze! zaraz ostrożnie tak zamanewrujem, żeby nieprzyjaciel się cofnął.

Jakoż gdy generał, zwolniwszy biegu, wstrzymał się nieco, kadet podjechał do ciągnącego się taboru karety, bryki brockiej, w której siedział prezes i dwóch wozów ładownych, poszeptał z Zarembą, Potockim i Kniaziewiczem, a sam usunął się na bok. Niezadługo rotmistrz Zaremba oddał trębaczowi swego konia, a sam przesiadł się do prezesa: po chwili bryka brocka, która szła za karetą, wyprzedziła ją i wyciągniętym klusem pospieszyła naprzód. Zaremba namówił prezesa, ażeby wcześniej stanąć na noclegu i przygotować dla dam wygodę.

Kiedy już kurzawa zakryła ową brykę, Raciborski podjechawszy do Kościuszki i salutując po żołniersku, rzekł:

— Mój generale! nieprzyjaciel spędzony z pola, tabor oswobodzony.

Kościuszko podniósł głowę z zadumy, a uściśnawszy rękę kadeta, w pełnym galopie posunął naprzód i przy drzwiczkach karety osadził białonóżkę w miejscu. Z okna jej już uśmiechnięta i uradowana twarzyczka wyglądała Toci, a matka wyciągnęła rękę na powitanie generała.

Kościuszko ucałował z rzewnem uczuciem tę rękę, a patrzył z zachwyceniem w oblicze rozpromienione swej bogdanki.

Kadet nasz objął teraz komendę nad całym taborem, znając dobrze okolice i wybrane miejsce na pierwszy nocleg. Po trzech godzinach podróży zatrzymał karete i dał znak generałowi. Już bowiem za laskiem przy dużej wiosce przed karczmą stanęła bryka brocka i prezes z Zarembą chodzili, wydając gościnnemu polecenia.

Kościuszko pożegnał damy, a Toci szepnęła: „do widzenia” na co skłoniła główką, jakby dając znak zapewnienia!

## XI.

Miejsce, gdzie Kościuszko wstrzymał swoje białonóżkę, było pełne powabu. Gaj dębowy, mieszany z brzozą, lipami i gdzieniegdzie modrzewiem, łączył się z dużym lasem, który okalał całą okolice. Na uboczu przy gościńcu stał domek gajowego z zabudowaniami gospodarskimi. Na środku małego podwórza kilkowiekowa lipa, jakby zielonym namiotem osłaniała go prawie zupełnie: na suchym wierzchołku dębu zaciągnięto koło

i usłano gniazdo bocianom, które już wysiadywały młode pisklęta. Z ganeczka domku otwierał się widok na łany zasianych pól, wielką karcznię i wieś ludną.

Kościuszko zsiadł z siodła i wszedł na podwórze, prosząc o gościnność. Żona gajowego powitała go radośnie, krzyknęła na chłopca, aby konia wprowadził do stajenki, dał siana i nasypał owsa do żłobu, a sama kłaniając się do kolan generała podług zwyczaju, prosiła, ażeby nie pogardził chlebem i solą, bo czem chata bogata, tem i rada.

Uprzejmie podziękował Kościuszko za tak gościnne przyjęcie i wszedł do pierwszej izby obszernej. Ściany jej zdobiły obrazy świętych: Chrystusa Pana Bogarodzicy, przed którą gorzała dniem i nocą lampka.

Gajowa tymczasem otarłszy stołek dębowy i stół, prosiła aby »Jasny Pan« spoczął, dodając, że mąż za chwilę powróci z boru, a ona tymczasem zajmie się przygotowaniem wieczerzy.

Kościuszko usiadł zadumany; wkrótce potem wszedł gajowy i powitał swego gościa. Dobrego wzrostu siwizną przypruszony, okazywał w całej postaci starego bywalca po świecie i więcej wykształconego człowieka. Zrzuciwszy borsuczą torbę i postawiwszy w kącie izby strzelbę, rzekł z uszanowaniem:

— Wielmożny pan pozwoli, że rozniecę płomyk na kominku, jakkolwiek ciepły wieczór, ale weselej na duszy człowieka, gdy izba rozjaśni się od ognia.

Kościuszkę skłonił głową a gajowy co rychlej naniósł suszu i rozniecił płomień.

Gospodyni nie bawiąc, nakryła stół białym obrusem i zastawiła kwaśną śmietaną z razowym chlebem i kuraka pieczonego.

— Moja kobieta zwinęła się gracko — mówił z uśmiechem radosnym gajowy — niech Wielmożny Pan spożywa zdrowo dar Boży, a kurak, po ormiańsku upieczony, jak pomorańcza się rumieni.

— Nie zasłużyłem sobie u was moi przyjaciele — mówił z rzewnem uczuciem Kościuszkę — na tak serdeczne przyjęcie, ale może będziecie w Międzyborzu, to proszę do swej kwatery: da Bóg odslużę.

— Dawno już nie byłem w mieście i moja kobieta także, ale ludzie gadali, że tam stoi sławny nasz generał, co bił się strasznie na drugim świecie. Wszyscy go bardzo chwalą i oboje radzi- byśmy go poznali. Bo proszę Wielmożnego Pana, to rzadki i osobliwy człowiek! Król go nasz po- waża i szanuje, ma wolny wstęp do niego na zamek kiedy zechce, a on żadnym, choćby naj- uboższym, nie pogardza chudziakiem.

— Jak będziecie w Międzyborzu — rzekł Kościuszkę, spożywając smacznie wiczerzę — to was poznam z tym generałem.

Oboje gajowi skłonili się do kolan, dziękując, że będą tak szczęśliwi i poznają z bliska generała.

W tej chwili zatętniło przed domkiem i Ra- ciborski przed gankiem osadził siwosza.

— Generale! — zawołał — czekamy na ciebie. Kościuszkę wybiegł co żywo z izby.

— Hej! gospodarzu! weźcie mego konia do stajni!

I to mówiac, zeskoczył i wprowadził wierzchowca na dziedzińczyk. Gajowy pochwycił cugle, a zbliżając się do kadeta, rzekł z ukłonem:

— Za pozwoleniem Wielmożnego paniczka, czy to generał z Międzyborza, co to był na drugim świecie,

— Ten sam — odpowiedział Raciborski — to nasz generał Kościuszko i nasz ojciec.

I spiesznie zawróciwszy się, pobiegł przed ganek, ażeby razem udać się w umówione miejsce. Gajowy stał osłupiały, równie jak jego kobieta.

— Mój Boże! — rzekła po długim milczeniu — to on sam był, a my go nie poznali! Taki dobry pan! muszę mu drugiego kuraka upiec na drogę.

Wieczór był cudny, czerwcowy. Księżyc wypłynął na jasne niebiosy i pełnym obliczem spoglądał na ciszę i spokój ziemski. We wsi słychać było gwar jeszcze, a po nad strumieniem lekka mgła osiadła. Chłód, co z boru przewiewał, orzeźwiał każdego. Kościuszko pędził galopem: nagle przystanął, jakby zmęczony i odetchnął głęboko. Znać pragnął uspokoić wzburzone serce.

W cieniu lip i dębów na łące, na rozesłanych dywanach i poduszkach siedziały prezesowa z córką i jej przyjaciółka. Potocki i Kniaziewicz bawili je rozmową; gdy nadjechał generał, Raciborski stanął na czatach.

Rotmistrz Zaremba z siostrą prezesa zostali w karczmie dla jego zabawy. Żurowski zrzęcznie,

będąc w wybornym humorze, tak rozmowę skierował, że Zaremba oświadczył się o rękę panny Brygidy.

— Nie mam majątku — mówił — prócz konia i szabli, ale mam zdrowe ręce do pracy i ochotę. Przy miłości i zgodzie to Bóg pobłogosławi nasze stadło.

— Panie rotmistrzu! — odrzekł poważnie prezes — robi mi to zaszczyt, że się do siebie zbliżymy więcej. Na początek gospodarki i ja mojej siostrze, którą kocham zawsze, dopomogę.

Panna Brygida, rozrzewniona taką dobrocią, pocałowała brata w rękę, a on ją uściskał.

Przy ponczykach, siedząc Żurowski z Zarembą, tak w rozmowie utonęli, że zapomnieli o wszystkich.

Tymczasem równie przyjemnie bawiło się zebrane towarzystwo w dąbrowie cieniejszej.

Zacna matka nie traciła bynajmniej nadziei, że przejedna męża, który zezwoli na połączenie córki z generałem. Kościuszko uszczęśliwiony, siedząc obok swej bogdanki, uważał tę chwilę za najszczęśliwszą w swem życiu: równego uczucia doznawał Kniaziewicz, będąc pewnym wzajemności pięknej Tekli Orlewskiej.

Nagle poskoczył ku stronie domku gajowego Raciborski, usłyszawszy tentent koni i turkot pojazdu. Pędził nim żywo doktor Stakenszmitt, chcąc razem z całym gronem oficerów pożegnać raz ostatni swoich pacjentów.

Pojazd zatrzymał się u gajowego, a z kade-tem nadszedł doktor, powitany serdecznie przez zebrane grono.

— Nie mogłem przenieść na siebie — mówił — żebym jeszcze moich państwa nie zobaczył. Teraz — dodał z uśmiechem — mamy wszelką swobodę wykradzenia chorążanki, co tak turbowało naszego prezesa. Pojazd gotów, ksiądz proboszcz w Międzyborzu jeszcze nie śpi: jest mama dobrodziejka i są świadkowie.

Smutnie potrząsnął głową Kościuszko:

— Nie taką drogą mogę poślubić chorążankę, zbyt ją kocham i szanuję, ażebym pozbawiał błogosławieństwa ojcowskiego.

Doktor uścisnął rękę jego i rzekł:

— Wiesz doskonale, mój generale, żem żartował. Znamy cię wszyscy i twój szlachetny charakter.

Rozmowa się orzeźwiła, wszyscy byli w najweselszem usposobieniu, gdy Janusz nadbiegł od rotmistrza, że już czas i dał znać kadetowi.

Było to hasło umówione z Raciborskim.

Kościuszko czule pożegnał Tocię i matkę, polecając się przyjacielskiej pamięci panny Orlewskiej. Całe grono ruszyło ku karczmie, generał zaś samotny wrócił do domu gajowego.

Prezes powitał najserdeczniej doktora.

Około północy wszyscy pożegnali go wraz z żoną i pannami.

Potocki, Zaremba i Kniaziewicz dosiedli koni, Janusz zatrąbił pojezdny i ruszyli z powrotem. Pojazd doktora nadjechał: Stankenszmitt wsiadł do niego z Raciborskim, odprowadzony przez prezesa i razem z rotmistrzem ruszył z gościńcem.



Gajowy z żoną czekali z utęsknieniem na powrót generała, aby mu okazać swe uszcześliwienie, że mogli go poznać bliżej. Ale widząc, jak szedł zwolna z opuszczoną głową, ocierając oczy chustką, przygnębiony jakąś boleścią, nie śmieli oboje ust otworzyć.

Kościuszko usiadł na ganku milcząc i wlepił wzrok swój w oddaloną karcznię, gdzie ruch był niezwykły.

Towarzysze jego dosiadali koni, a Janusz wygrywał pojednego.

— Czy nie macie gosposiu dzieci? — zapytał po długim milczeniu.

— Mamy tylko, jaśnie panie generale, jedy-naczkę! — odpowiedziała, schylając się do jego kolan.

— Moja matko, poproś dziewczki swojej. Chcę ją poznać.

— Jagusiu! Jagusiu! — zawołała. Wnet wybiegła dziesięcioletnia dziewczyna, świeża i rumiana, schudnie przybrana, ale z bojażnią stanęła w kąciku na widok »pana«.

Kościuszko dał znak, przyciągnął ją do siebie, a pogładziwszy po pełnej twarzyćce, całując ją, wsunął jej dwa dukaty złotem na korale.

Skraśniało dziewczę, nie wiedząc co robić, a gajowy z żoną z głośnym, radośnym płaczem upadli przed nim na kolana.

— To nasze szczęście wielkie! — mówił gajowy przerywanym głosem. — Widocznie Bóg nam błogosławić będzie i naszej Jagusi.

Kościuszko, wzruszony do głębi duszy, podniósł pocziwych ludzi i uściskał ich.

Za chwilę nadjechali towarzysze broni i doktor. Z pojazdu wyskoczył Raciborski, dosiadł swego siwosza, a gajowy wyprowadził białonóżkę. Stakensmitt pożegnał skinieniem ręki przyjaciół, spiesząc do Międzyborza.

— Janusz! — krzyknął wesoło rotmistrz Zaremba — zatrąb teraz naszą pobudkę: to będą damy wiedziały, że ruszamy w drogę!

Trębacz po mistrzowsku zagrał: a cały orszak ruszył wolno gościńcem.

Pocziwa gajowa zapomniała o upieczonym kuraku, który miała ofiarować Kościuszcze na drogę!

Przed karczmą siedziały na niskiej ławeczce Tocia z przyjaciółką. Strumień, co się wił w dąbrowie, w pobliżu przepływał krętem korytem. Dziewoja wiejska, nabrawszy w dzbanek czystej wody, wracając do najbliższego dworku; w którym mieszkał z rodziną stary konfederat barski, zaśpiewała ślicznym głosem znaną piosenkę:

„Wyszła dziewczyna, wyszła jedyna,

Jak różowy kwiat:

Białe rączki załamała,

Czarne oczka zapłakała,

Zmienił jej się świat.

— „A czego płaczesz, czego żałujesz,

Dziewczyno moja?

— „Jakże nie mam płakać, jak nie mam żałować?

Nie będę twoja.“

Rzewna nuta melodyi wzruszyła obie dziewczęce. Tocia drżącą ręką pochwyciwszy dłoń przyjaciółki, rzekła:

— Słyszysz, Teklusi! — i zanuciła na wpeł z płaczem:

„Jakże nie mam płakać, jak nie mam żałować?  
Nie będę twoja!“

— O dobrze! dobrze — mówiła dalej — że tej pieśni nie słyszy Tadeusz!... Ach! Tekluniu, smutna to wróżba dla mnie!

W tę chwilę wyszła panna Brygida, wzywając na spoczynek, bo już dawno po północy i już »drugie kury« dają znać o świtanu.

## XII.

Za powrotem do Międzyborza, Kniaziewicz i Potocki dowiedzieli się od posła Morskiego, że to on namówił i zachęcił chorążankę, aby ojcu wyznała swą miłość i przebłagała zawziętość jego przeciw Kościuszcze.

Żurowski wysłuchał cierpliwie tej spowiedzi, pohamował gniew gotowy do wybuchu z obawy przestraszenia swej żony, płakał ze swą kochaną Tocią razem, ale stanowczo odmówił zezwolenia na związek małżeński z generałem.

— Ja jadę do mojej bratowej kasztelanowej — mówił Morski. — Starajcie się rozrywać naszego Amerykanina w smutku i boleści. Z natury skłonny do dumania, lękam się, aby nie wpadł w czarną melancholię. Ty rotmistrzu — zwracając się do Potockiego — i ty rotmistrzu — wskazując Zarembe — razem z tymi, których tak kocha — rzekł, biorąc za ręce Kniaziewicza i Raciborskiego—

połączenie braterskie usiłowania, żeby generała nie zostawiać w samotności. Wiem tylko jeden sposób, coby oderwał jego myśl od smutku...

— A jaki? a jaki? — zapytali wszyscy razem.

— Tylko wojna! a do tej nie ma teraz żadnego podobieństwa. Bywajcie mi zdrowi, kochani przyjaciele, idę do Kościuszki na pożegnanie.

I uściskał wszystkich po kolei.

Potocki zaprosił towarzyszków do swej kwatery na walną radę, co należy obmyśleć, żeby wynaleść rozrywkę dla generała.

Było koło południa. Gospodarz kazał podać »starą litewkę« i przegryzkę, złożoną z chleba, masła, bryndzy i wędliny.

Kieliszek obszedł kolejką.

Zaremba zapaliwszy fajkę, rzekł poważnym głosem:

— Głupia to rzecz miłość! co też ona nie wyrabia z ludźmi!

Raciborski parsknął śmiechem, Kniaziewicz milcząc, kiwał głową, a Potocki odpowiedział:

— Mój rotmistrzu, wielką prawdę powiedział: czuje to dobrze nasz poczciwy Tadeusz...

— Czuje i sam rotmistrz — dodał Raciborski...

— Milez, smarkaczu! — z dobrotliwym uśmiechem krzyknął Zaremba, puszczając mu gęsty kłęb dymu w oczy.

Kadet oddmuchiwał chmurę gryzącą, gdy Potocki mówił dalej:

— No to jeszcze nic, gdy się kawaler z panną pokochają...

— Jak nie przymierzając nasz kochany rotmistrz z panną Brygidą — przerwał Raciborski.

— Dajcie mi tu pistoletu albo dubeltówki, albo moździerz czy haubicy, żebym raz sprzątnął tę srokę! — krzyknął niby gniewny Zaremba, a ścisnął i całował młodego kadeta.

— Ale ja wam powiem coś lepszego. Znacie Kozietulskich? Pobrali się z prawdziwej miłości i pokłóciwszy się z sobą, poszli do rozwodu. Potem znowu zakochali się szalenie w sobie i ślub powtórzyli przed jedenastu laty. W rok później uszczęśliwieni kołysali dzielnego chłopca, co im się urodził w Skierniewicach. Teraz ma już lat dziesięć, dobrze jeździ na koniu i myślę, że będzie z niego tęgi żołnierz, mospanie\*)!

— Ależ przystąpmy do walnej narady — przemówił milczący Kniaziewicz.

— Ja sędzę — rzekł po chwili namysłu Potocki — że najlepiej będzie wezwać pomocy dam do tego; one najlepszy znajdą na to środek. Ja pojedę do księżnej Sapieżyny, wstąpię i do pani Grabianczynej: Kniaziewicz niech jedzie do dobrej przyjaciółki Kościuszki, kasztelanowej Morskiej, gdzie znajdzie i naszego posła. Rotmistrz Zaremba odwiedzi Bejzymów...

— A mnie czy nigdzie nie wyprawicie? — zawałał płacziwym głosem Raciborski.

— Mój Józiu — odrzekł Potocki — stryjenka twoja mieszka blisko Ihnatowic prezesa. Wpadniesz

---

\*) Przepowiednia się sprawdziła. Jest to ten sam sławny Kozietulski, co zdobywał wąwozy Somo-Sierra w Hiszpanii.

do niej, niby ją stęskniony odwiedzisz, ale zarazem zobaczysz się z chorążanką.

— I z panną Teklą!

— I z panną Brygidą! — przemówili razem Kniaziewicz i Zaremba.

— I zapewne słodkie od nich bileciki wam przywieść! — dodał kadet, uśmiechając się wesoło.

Kościuszko w chwili tej narady siedział zamysłony nad mapą Rzeczypospolitej i zakreślał na niej jakieś linie i znaki. Pewny miłości swej ukochanej, wrócił do ulubionych zajęć: czytania, rysowania i zadumki.

Jędrzej tymczasem pomagał Januszowi, który, jeżeli trąbił wybornie pobudkę i pojezdnego, nie mniej był doskonałym kucharzem.

Podług umowy dzień po dniu, zacząwszy od rotmistrza Potockiego, rozjeżdżali się nasi przyjaciele w okolice na narady. Jakoż ze wszystkich stron odbierał Kościuszko zaprosiny.

W kilka dni odwiedził najbliższy dwór Bejzymów, gdzie zastał księżnę Sapieżynę z córką. Księżniczka, która do grona swoich wielbicieli pragnęła policzyć i Amerykanina, z zachmurzonym obliczem go powitała, dowiedziawszy się o gorącej miłości Kościuszki dla Tekli Żurowskiej. Nie umiała i nie chciała ukrywać swego gniewu i rozjątrzenia.

Te odwiedziny zepsuły generałowi dobry humor, z jakim przybył do Bejzymów: skrócił więc swój pobyt i jeszcze smutniejszy, jak dawniej, wrócił do swej kwatery.

U kasztelanowej Morskiej znalazł przecie serdeczne, gościnne i prawdziwie przyjacielskie przyjęcie. Nie potrzebował ukrywać swego przywiązania do chorążanki, które gospodyni domu pochwałała ze współczuciem. Tu też bawił obojętnie i swobodnie, a zacną kasztelanową uważał jako wielką swoją przyjaciółkę.

Raciborski nie odwłóczył ułożonego zamiaru: prosił Kościuszkę o urlop, nie mówiąc, gdzie ma zamiar jechać i nazajutrz Międzybórz opuścił.

Żurowski za przybyciem do swego dworu w Ichnatowicach, odetchnął z całą swobodą. Stał się jeszcze więcej troskliwym o zdrowie swojej panienki i czulszym dla córki. Spokojny o jej wykradzenie, zachmurzał nieraz czoło z powodu podejścia i oszustwa szambelana, który znikł jak kamień w wodzie. Zajęty gospodarstwem, w kilka dni przypomniał sobie dopiero, że na list Kościuszki, doręczony przez Kniaziewicza, nie odpisał dotąd pomimo danego przyrzeczenia.

Długo rozmyślał i zadumany w swojej kancelaryi siedział. Dobył wreszcie z pugilaesu list naszego generała i z uwagą począł odczytywać.

Kościuszko pisał go w wielkiem rozdrażnieniu, odbrawszy list prezesa, w którym wyrzucał mu zamiar wykradzenia córki. Czytał go już w Międzybórz, ale pragnąc dać odpis, na nowo punkt za punktem przebiegał oczyma.

Zamiar zerwania ostatecznie z Kościuszką i odmówienia ręki córki stanowczo powziął. Do różnicy wieku, która była znaczna, bo generał liczył czterdziesty piąty rok życia, a Tocią koń-

czyła siedmnastą wiosną, łączyła się uwaga, że jako żołnierz, powołany na pole walki, łatwo może zginać i wcześniej owdowiałą żonę pozostawić. Przygody życia, które mu dały sławę, w jego umyśle przedstawiały charakter awanturniczy. Nie miał w ostatku pewności, czy rzeczywiście wieś dziedziczną posiada. Nie wahał się więc w swoim postanowieniu.

— Mojej Toci potrzeba szlachezca gospodarza, nie wojaka: spokoju — nie obozowych przygód.

Tak w myśli sobie powiedział i zaczął z całą uwagą list Kościuszki odczytywać na nowo. Ten sam list po pierwszym odczytaniu swego czasu otworzył Kościuszce drzwi domu prezesa.

Teraz zadumał się Żurowski i sparł głowę na rękę, gdy usłyszał lekkie pukanie do drzwi. Co rychlej schował list otwarty i odsunął zasówkę, a po chwili weszła siostra Brygida z ożywionem niezwykle obliczem.

— Przyszłam donieść panu bratu, że do sąsiadki naszej przyjechał dobrze nam znajomy kadet Raciborski.

Żurowski uradował się podwójnie — raz, że młodego chłopca pokochał szczerze, a powtóre, że zdarzała mu się dobra sposobność przesłania odpisu generałowi.

— A trzeba go prosić do nas: niech Walenty zaraz rusza i prosi na obiad. A wyklóćę się z nim i za uszy pociągnę, żeby być tak blisko i nie odwiedzić zaraz. Biegnij Brygisiu i wysyłaj kredencera.



Panna Brygida nie traciła czasu, a Walenty w pół godziny na połowce przywiózł kadeta.

Ożywił się cały dwór osmutniały w Ihnatowicach. Prezes przyjął go tak serdecznie, jak syna. Raciborski doręczył liściki pannie Tekli od Kniaziewicza i Brygidzie od Zaremby.

— A do mnie — przemówiła rzewnym głosem Tucia — nie masz ani literki?

Raciborski opowiedział jej szczerze smutek Kościuszki i układ, jaki mieli między sobą.

— Generał nie wiedział, gdzie jadę, nie pytał o to i jam mu nie powiedział. Chciałem tylko państwo widzieć i dowiedzieć się, czy jakiej pociechy ztąd nie potrafię mu przywieźć.

Po kilku dniach pobytu — to w Ihnatowicach, to u stryjenki, przybył Raciborski w ostatku na pożegnanie.

Tucia zapłakana wręczyła mu mały splot włosów ze swego warkocza dla Kościuszki. Panna Brygida i Orlewska odpisy swoje. Matka prosiła, aby pozdrowił wszystkich, a szczególnie kochanego Amerykanina.

Na samem wyjeździe prezes, zaprosiwszy go do swej kancelaryi, oddał mu list zapieczętowany, ażeby go złożył do własnych rąk generała. Raciborski uradowany, pewny, że w nim wiezie najlepsze lekarstwo na smutek i tęsknotę ukochanego dowódcy, gnał co siły do Międzyborza.

---

### XIII.

Po zachodzie słońca Raciborski przybywszy na leże, pospieszył wprost do kwatery generała i doręczył mu list oraz dar chorążanki. Ztąd pobiegł do Zaremby i Kniaziewiczza, których uradował wiadomością o zdrowiu i odpisami ich bogdanek. Wrócił z równym pospiechem do domu i padł utrudzony i zmorzony snem.

Nazajutrz rano ze świtem przyszedł stary Jędrzej do Gila trębacza i pod wielką tajemnicą mu opowiedział, że się coś dziwnego działo w kwarterze Kościuszki.

— Jak tylko, mój kolego — mówił sędziwy wiarus — młody kadet doręczył list naszemu generałowi, a ja wyczyszczony mundur przyniosłem do pokoju, widziałem jak załamał rękę, ciężko wzdychał, porwał się z kanapy i chodził niespokojny a blady jak chusta. Ja wyszedłem, ale stanąłem w ogródku za krzakami bżowemi tak, że wszystko widział. Kilka razy brał ten list do ręki, wlepiął oczy i rzucał go na stół. Coś do siebie gadał, ale nie dosłyszałem słowa. Potem usiadł i długo, długo płakał jak bóbr rzewnemi łzami, aż i mnie łzy słone na wąsy spadły. Nie kładł się wcale do łóżka, ale tak przez noc całą to chodził, to siadał. Drugie kury zapały, kiedy chudziątko strudzone rzucił się na kanapę nie rozebrany i zasnął. Śpi jeszcze, a ja tu do was kolego, przybiegłem na naradę; możeby co nasi panowie oficerowie w tem pomogli.

Trębacz zamyślony uściśnął rękę poczciwego starca a sam pospieszył do Kniaziewicza, któremu opowiedział wiernie, co słyszał. — Ten nie tracąc chwili, stanął w kwaterze generała, ale już go nie zastał. Rano wsiadł był Kościuszko na konia i wyjechał za miasto.

Uchylił przymknięte tylko drzwi od sypialni Kościuszki: łóżko było nietknięte. Na stoliku leżał list otwarty i przy nim drugi adresowany do Tekli Żurowskiej i jej matki Kniaziewicz przebiegł go szybko oczyma:

»Teraz nie widzę sposobu po takim liście: na wspomnienie samo we mnie rozbudza krew. Dziękuję jednak za twoje łaski dla mnie, które w niewygasłej pamięci u mnie będą. Twój charakter, przywiązanie dla córki rzadkie, będzie przykładem wszystkim, a monument dla ciebie jest zgotowany w sercach wszystkich dobrze myślących. Twoja łagodność pokryje umartwienia różne, jednostajność umysłu będzie zawsze uwielbienia godną. Daruj, że tak późno poznałem twój sposób myślenia: tem spieszniejszym byłbym całować twoje ślady. Żyj szczęśliwa i długo, a nagrodę znajdziesz, kiedy będziesz chciała. Mój Boże! co za myśl okrutna, abym rwać miał prawa natury i pomimo ojca wyrwać mnie kochaną. Passya to jemu dyktowała i odmieni się twarz we mnie na pogodę i jemu życzę z serca najpomyślniejszych momentów. A tyś serca mojego ożywienie i coś miała być słodyczą całego życia mego Teklusi, daruj, że wyrazów stosownych nie znajduję w tym momencie, lecz z przytuleniem chustki do mych

oczu skłaniam głowę moją do ucałowania twych nóżek z przywiązaniem stałem na zawsze.

»Nie podnoś mnie, ale podepcz wszystkie moje dowody przyjaźni i utop w zapomnieniu moje dla ciebie kochanie, odrzucony od ojca i od ciebie być muszę. Obraz jednak twój w mem sercu zawsze będzie, twym duchem oddychać będę i twem sercem żyć będę; gdzie się obrócę, cień twój śledzi mnie zawsze. Umysł napełniony obiektem, we wszystkich widokach twój portret znajduje, a chociaż mnie czynisz nieszczęśliwym, niech ciebie znajdę najpomyślniejszą.

T. K.\*)

Kniaziewicz zadumał się nad tym listem.

— Zawsze — myślał sobie — w tej szlachetnej duszy tkwi rana, podejrzeniem zadana o podłość wykradzenia z domu rodziców tej, którą tak ukochał. Nigdy ból ten nieuspokojony! lada okoliczność odnawia go i oburzenie na nomo wzrasta. Więc to ostatnie twoje, mój generale, pożegnanie z tą, którąś ukochał tak czystą miłością.

Wtem zatętniał podwórzec przed dworem i zsiadł ze zmęczonej białonóżki Kościuszko. Kniaziewicz wybiegł naprzeciw niego, a ściskając serdecznie podaną rękę, rzekł ze współczuciem:

— Generale! wiem wszystko, wszystko czytałem. Niech Bóg dobry ześle pociechę na twoją boleść.

I wzruszony do głębi serca, z opuszczoną głową odszedł.

---

\*) Podług autografu Kościuszki.

Osmutniało nasze grono przyjaciół w Międzyborzu: Zaremba i Kniaziewicz, uszczęśliwieni pewną wzajemnością swoich kochanek, taili radość i cicho między sobą wspominali ich imiona. Czasem schodzili się razem do zwierzyńca doktora, który szanując boleść milczącą Kościuszki, w przechadzkach wieczornych nigdy nie wspominał o przeszłości, a starał się zwracać rozmowę i uwagę na bieżące wypadki krajowe. Jakoż zachmurzał się coraz groźniej horyzont polityczny. Z końcem sierpnia nadbiegły głuche wieści z Warszawy do Międzyborza o knowaniach tajnych w celu obalenia ustawy rządowej 3 maja. Kościuszko i Kniaziewicz w połowie żniwa wyjechali. Generał pragnął zobaczyć i odwiedzić miejsce swoje rodzinne w powiecie słonimskim. Z rzewnem uczuciem zroszonymi oczyma poglądał i powitał swoją kolebkę: ów dwór z podwójnym dachem w Mereczowszczyźnie, skromny ogródek i tę alkowę, w której go matka pieśnią do snu kołysała. Wspomnienie jej przywiodło mu na pamięć i jego bogdanę, bo matce jego było także na imię Tekla.

Obszedł dwór cały, ale zatrzymał się przed boczną alkową i powstrzymał Kniaziewicza.

— Nie chodź tam Karolu: tam ściany jeszcze obryzgane krwią mojego ojca, który padł pod ciosami siekier morderców. Smutne i bolesne wspomnienie!\*)

---

\*) Ojciec Kościuszki, popędliwego charakteru, srogo obchodził się z swymi włościanami; ci oburzeni jego tyranią, przywiezeni do rozpacz, napadli na dwór i zamordowali go w r. 1768. (L. Chodźko. Życiorys T. Kościuszki).

W ogródku usiadł zmęczony; pusto było we dworze, żadnej znajomej twarzy nie spotkał: wszyscy byli to nowi mieszkańcy i poglądali nań, jak na nieznanego przybysza.

Nad wieczorem opuścił Mereczowszczyznę i wrócił z przyjacielem do Międzyborza.

W kilka dni nadbiegł kuryer z depezbami od księcia Poniatowskiego. Ruch niezwykle żywy i milczące i spokojne miasto.

Od tej chwili adjutanci Kościuszki rozbiegali się w różne strony. Raciborski, awansowany na podporucznika, prawie nie zsiadał z siwosza, rozwołując rozkazy generała do różnych komend w okolicy Międzyborza.

Kowale na nowo przekowali konie kawaleryi i do zaprzęgów używane. Opatrywano troskliwie wozy amunicyjne i robiono przybory, jakby się miano w pogotowiu do prędkiego wymarszu. Kościuszkę od świtu zajęty był to mustrą piechoty i jazdy, to sprowadzonej artyleryi, która dla wprawy strzelała z dział do tarczy. Gromady rekrutów rozdzielano pomiędzy pułki, ubierano i wprawiano w robieniu bronią, obrotach i maszerowaniu.

Pobudki tębaczy i odgłos bębnowi mięszał się z salwą dział i ręcznej broni. Kościuszkę orzeźwiał w swym smutku: list swój, który czytał Kniaziewicz, przesłał chorążance do Ichnatowic. Kiedy po trudach całodziennych, odpoczywał w ulubionym zwierzyńcu Stakenszmitta, doktor na pół z uśmiechem, na pół ze smutkiem, mówił:

— No! mój generale, coś nadchodzą czasy wojenne. Dym prochowy z waszych armat i kara-

binów przygłusza woń moich roślin i kwiatów. Oby Bóg ochronił nas od klęsk spodziewanych.

Kościuszek odpowiedział tylko głębokiem westchnieniem.

#### XIV.

Przewidywania bliskiej wojny spełniły się nie długo; z wiosną 1792 nad armią Rzeczypospolitej objął główne dowództwo książę Józef Poniatowski. Kościuszcze oddano jedną dywizję. W maju generał opuścił Międzybórz, biorąc kierunek wskazany po nad lewym brzegiem Bugu.

Zaszła bitwa dnia 17 czerwca pod Zieleńcami, w której miał świetny udział Kościuszek. Armia odebrała rozkaz cofania się. Kościuszek ze swoją dywizją stanął pod Dubienką.

Prezes Żurowski z powodu przechodu wojsk i niepokoju opuścił Ihnatowice i przeniósł się do Zahajpola, małego folwarczku, który kupił w granicach Galicyi o dwie małe milki od Dubienki.

Dnia 17. czerwca równo z poranną zorzą huk dział i ręcznej broni z nad Dubienki spłynął wyraziście po rosie i odbił się o drewniane ściany dworku w Zahajpolu, w prostym bowiem kierunku pole bitwy na milę nie było odległe.

Żurowski kazał sobie co prędzej osiodłać konia i z dwoma kozaczkami podolskimi na dobrych mierzynach ruszył do pobliskiego lasu. — Zaraz za borem wznosiło się wyniosłe wzgórze, z którego był rozległy widok na całą okolicę,

a Dubienkę widać było jak na dłoni. Na środku wyrastało kilka starych, rosochatych dębów i wysmukłych jodeł.

Żurowski, dojechawszy na to wzgórze, zawołał jednego luzaczka.

— Iwanku! wleź na ten dąb, a co zobaczysz, mów mi zaraz.

Zwinny Podolak w mgnieniu oka zawisł na wierzchołku, ale przez dym z armat i ręcznej broni nie mógł nic dokładnie widzieć. Żurowski bliżej sam podjechał i lepiej mógł widzieć krwawą walkę.

Po siedmiogodzinnej kanonadzie nieprzyjaciel rzucił się do ataku. Kościuszko ze swoją dywizją, wynoszącą 4.000 żołnierzy, z dziesięcioma działami, stanął pod Dubienką, prawe swe skrzydło oparłszy o graniczny słup Galicyi, lewe o brzeg rzeki Bugu. Słychać było straszny okrzyk licznego nieprzyjaciela, bo 18.000 wojska liczącego. Okrzyki te tłumili wystrzały armat i karabinów.

— Iwasiu! — zawołał niecierpliwy Żurowski, posilając się z borsuczej torby — czy nasi się trzymają?

— Stoją jak dęby, panoczku! ani razu się nie zachwiali.

— Dzięki Bogu! On tam dowodzi... biedna moja Tocia i moja panienska. Pod Twoją obronę ...

I odmówiwszy modlitwę, zostawił Iwasia na straży, sam zaś pospieszył do domu.

We dworze było pusto; wszystko co żyło, pobiegło na granicę. W pokojach pusto, tylko w sypialni przed obrazem Matki Boskiej



Częstochowskiej klęczała matka z córką zapłakane i tak zatopione w modlitwie, że nie słyszały jego przybycia.

— Biją się jeszcze nasi — rzekł wzruszonym głosem — generał zdrów, żyje, wszystko ożywia i trzyma się dzielnie. To prawdziwy bohater.

Tocia, która blada jak chusta klęczała, na te słowa poruszyła się żywo, wzrok jej zajaśniał ogniem, rumieniec zabarwił oblicze.

— Żyje! — zawołała — żyje! dzięki Bogu. O mój Tadeuszu! zносиłam gorące modlitwy do Opiekunki i Orędowniczki naszej.

— Moja panienko i ty, Tociu, przygotujcie szarpi i bandaży; nasz doktor z Międzyborza przybędzie lada chwila, już dawno posłałem po niego rozstawione konie. Zbierzcie czeladź, nago-tujcie strawy, bo czas do roboty. Ja jadę na granicę i niedługo wrócę.

W miarę, jak się zbliżał do lasu, okrzyki ustawały, a strzały armatnie coraz się oddalały. Kiedy dojechał do wzgórza, Iwanko już się zsunął z dębu i ukazał drożynę przez las idącą. Żurowski poskoczył co żywo i ujrzał krwią oblanego Zarembe, niesionego przez włościan, a przy nim Raciborskiego, idącego z obwiązaną ręką.

— Petruk! — krzyknął na drugiego koczaczka — prędzej do dworu po moją brykę. Goń co żywo.

Sam przyskoczył bliżej.

— Panie Józefie! czy żyje nasz rotmistrz?

— Zdaje się, bo oddycha jeszcze, ale ciężko ranny.

— Biedna Brygisia! — pomyślał sobie — gdy w tej chwili zatętniła bryka brocka i wyskoczyła z niej panna Brygida w towarzystwie Toci.

Żurowski nie rzekł słowa, tylko wskazał ręką na rannego.

— Mój Stasiu! — krzyknęła z płaczem.

Ranny na ten głos znany otworzył oczy i poruszył ręką.

— Iwanku! — zawołał Żurowski — zrób posłanie w bryczce, położymy rotmistrza. Opatrzono go na pręde, złożono ostrożnie w bryce i przywieziono razem z Raciborskim. Na dziedziniec zajechał właśnie doktor Stakenszmitt; ten obejrawszy rany Zaremby, rzekł kiwając głową:

— Rany ciężkie, ale życiu wcale nie grożą. Za parę miesięcy będzie zdrów jak ryba i stanie jeszcze ze swoją narzeczoną na ślubnym kobiercu.

Panna Brygida ze smętnym uśmiechem pocałowała go w ramię.

Raciborski miał lekko przestrzeloną lewą rękę. Zajęto się troskliwie rannymi. Nazajutrz przyszła wiadomość o świetnem zwycięztwie Kościuszki pod Dubienką i jego cofnięciu się do Krasnegostawu. Kniaziewicz, Potocki i Kwaśniewski wyszli z tej krwawej walki szczęśliwie. Nieprzyjaciel straciwszy do 4.000 w zabitych i rannych, nie śmiał postępować śladami cofającego się zwycięzcy. Tocia, zajęta chorymi, orzeźwiała w swoim smutku; przybyło jeszcze kilku rannych żołnierzy, którzy znaleźli wygodny przytułek i opatrzenie. Doktor po tygodniu wyjechał w okolice i gdy go oczekiwano z utęsknieniem, przybył, ale wielce

zmieniony i pomieszany. Dał znak Żurowskiemu i obaj wyszli do ogrodu.

— Wszystko przepadło — rzekł zeicha — daremnie krew przelana! Król Jegomość przystąpił do konfederacyi Targowickiej...

— To być nie może! — zawołał Żurowski.

— Kiedy tak jest, mój prezesie — odrzekł Stakensmitt i pokazał manifest Stanisława Augusta.

Zaledwie go Żurowski przeczytał, rzucił z oburzeniem na ziemię i załamał ręce w niemej rozpacz.

— Cóż robi księżę Józef Poniatowski, co Kościuszko?

— Obaj — mówił doktor — podali się do dymisyi wraz z wszystkimi wyższymi oficerami. Trzeba ostrożnie i naszym rannym o tem powiedzieć; porucznikowi może powiedzieć prezes, a ja sam przygotowuję rotmistrza. Zdrowie w tym człowieku żelazne: inny leżałby dwa lub trzy miesiące, a ten będzie już zdrów po trzech tygodniach.

Zarówno Raciborski, jak i Zaremba przyjęli tę niespodziewaną wiadomość z oburzeniem i bezwzględnie podali się do uwolnienia. — Raciborski z ręką na temblaku, podziękowawszy serdecznie gospodarstwu za pomoc i gościnność, wyjechał do Warszawy. Zaremba zaczął powoli podnosić się z łoża boleści. Już o swej mocy chodził, gdy siedząc na ganku, posłyszał turkot bryczki i rżenie swego kasztana. Porwał się na nogi, a jakże się uradował, gdy zobaczył Janusza Gila, trębacza,

po cywilnemu przebranego, cztery swoje konie, a w dodatku dzielnego siwka Raciborskiego!

Po uspokojeniu się nieco w kraju, zamyślał prezes wrócić do Ichnatowic, a po ślubie siostry oddać Zarembie Zahajpole w dzierżawę za tak niską cenę, ażeby się mógł prędko czego dorobić. Na początku września odbyło się wesele ciche i w kółku rodzinnem. Prezesostwo z córką w kilka dni cdjechali, a państwo młodzi zabrali się do gospodarki.

Żurowski stał się teraz coraz czulszym dla córki, mówił z nią często o Kościuszcze, układał plany, jakby na przyszłość marząc o połączeniu ich węzłem małżeńskim. — Ale Tocia teraz słuchała słów ojca coraz obojętniej, a zasięgała starszannie wiadomości, co się dzieje z generałem. Pomagała jej w tem jej przyjaciółka Orlewska, która mieszkając w Krakowie, donosiła, że widziała się z Kniaziewiczem i że Kościuszko, który wyjechał do Drezna, zawsze ją kocha, ale zajęty losami kraju, poszedł na dobrowolne wygnanie.

Rok następny 1793 przeminął w największej ciszy. Z nowym rokiem 1794 zaczęły ciche i tajemne wieści obiegać kraj cały, a we wszystkich ustach było tylko imię Kościuszki. Orlewska donosiła z Krakowa, że pan Tadeusz spodziewany niedługo — że świetna gwiazda jego zajaśnieje blaskiem słońca, że powinna być dumną, iż człowiek taki ukochał ją i poświęcił jej swe serce.

Tocia spoważniała wielce w obejściu: milcząca, na wspomnienia dawne, jakie ojciec teraz często przywodził, uśmiechała się smętnie, nie nie

odpowiadając. Matka, zdziwiona tą zmianą widoczną, raz zapytała:

— Tociu! co ci jest? takeś się zmieniła.

— Moja mateczko! — odrzekła — nie zmieniłam się, tylko z wesołej dziewczynki dojrzałam na kobietę myślącą, którą już osobiste szczęście nie zajmuje. On bohater, dziś wygnaniec dobrowolny, wróci — mówiła cichszym głosem — a imię jego rozbrzmi się sławą nie tylko w Polsce, ale po całym świecie. On mnie kocha, a ja dumną jestem jego miłością i przy jego imieniu może moje kiedyś wspomną. Dojrzałam, moja mateczko, cierpieniem i bólem, dziś mnie nic nie obchodzi, tylko ścigam jego ślady, gdzie się obraca. Teklusia mi pisze, że wkrótce pojawi się w Krakowie; wtedy, mateczko moja, pospieszymy tam, abym go chociaż z daleka mogła zobaczyć. Przyrzekasz mi to, moja droga?

— Dobrze, moje kochane dziecię! — odrzekła zająca matrona, zanosząc się od płaczu.

## XV.

Rok 1794—1800.

W skromnym dworze Zahajpola palił się suty ogień na kominie; siedział przy nim rotmistrz Zaremba i paląc fajkę, drzemał. Bliżej okna siedziała jego żona na kanapie, kołysząc małego synka.

— Brygisiu złota! — rzekł rotmistrz — czy Janusz jeszcze nie wrócił?

— Nie, mój Stasięku, spodziewam się go dopiero najprędzej jutro rano.

— Moja Brygisiu, przeczuwam, że mnie na apel zawołają, bo znowu się chmurzy na naszym niebie.

— Nie będę cię zatrzymywała, gdy mi powiesz: trzeba iść, Brygisiu.

— Brygisiu złota — mówił, siadając obok małżonki — Bóg mi dał wielkie szczęście, dając cię za żonę.

I całował ją i pieścił.

— A nasz Tadeuszek śpi jak suseł. Żeby tylko ojca pamiętał.

Westchnął ciężko i opuścił głowę na piersi.

— Nie było wiadomości z Ihnatowic?

— Bratowa z Tocią wyjeżdżają do Krakowa, bawi tam i Teklusia.

— Kniaziewicz i Potocki — mówił rotmistrz — siedzą tam oddawna. Ja czekam wiadomości od Raciborskiego. Czy wiesz, ożenił się, ma już syna i córkę, a dzieci tak piękne jak ojciec. Chowam mu siwosza zdrowo, może go jeszcze dosiędzie, jak ja mego kasztanka.

Kiedy domawiał tych słów, drzwi się rozwarły i wszedł trębacz Janusz. Brygida zadrżała, a rotmistrz zerwał się, przystąpił do niego i zapytał:

— I cóż nowego?

— Panie rotmistrzu! już czas, wołają nas do apelu. Jutro konie będą gotowe i siwosz naszego porucznika. Oto rozkaz.

Zaremba odczytał pismo i rzucił na komin.

Żona z cicha łkała przy kołysce.

— Brygisiu, złoto moje! Łzy na stronę, tyś małżonka rotmistrza Zaremby. Zrób przybory, bo jutro z rannym brzaskiem hajda na koń i w pole! — Janusz, oczyść swoją trąbkę! Oddział jazdy niech się zbierze w lesie nad granicą, damy hasło ze wzgórza pod dębami.

Zaremba do północy pisał. Skreślił list z pożegnaniem do Żurowskiego, oddając pod jego opiekę żonę i syna, a swemu pacholęciu napisał na pamiątkę kilka wyrazów serdecznych.

Jak tylko świtać zaczęło, pożegnawszy płaczącą żonę i pobłogosławiwszy śpiącego syna, westchnął ciężko, przeżegnał się i ruszył w towarzystwie Janusza, ubranego w swój mundur i czterech jeźdźców. Siwka Raciborskiego prowadzono luzem przy bryczce.

Gdy przybyli na to samo wzgórze, z którego Żurowski patrzył na bitwę pod Dubienką, Janusz zatrąbił pobudkę, a z lasu wysunęło się do stu jeźdźców, nad którymi objął komendę Zaremba i ruszył wolnego kłusa boczną ścieżką.

Było to w połowie marca 1794 roku. Równocześnie prezesowa Żurowska z córką dojeżdżała do Krakowa w towarzystwie tylko Walentego kredencera.

Za przybyciem do dawnej stolicy Jagiellońskiej, stanąwszy w rynku, dały znać Tekli Orlewskiej, która natychmiast przybiegła, ciesząc się serdecznie z ich przyjazdu. Nazajutrz Potocki i Kniaziewicz odwiedzili je wieczorem; czekali na Kościuszkę, o którym umyślnie rozpuszczono wieść,

ze wyjechał do Ameryki. Tocia z bijącym sercem słuchała tych wiadomości.

Zaremba niedługo spotkał się z Raciborskim, któremu oddał siwka. Cały oddział do 200 koni wynoszący, zwrócił drogą w Krakowskie.

W nocy z dnia 23 na 24 marca Kościuszko przybył do Krakowa. Uwiadomiona o wszystkim prezesowa z córką raniutko przybyły do kościoła OO. Kapucynów, gdzie w kaplicy Loretańskiej w ciemnym zakątku stanęły. Wkrótce przybył Kościuszko z generałem Józefem Wybickim i tu poświęcono im szable. Wtedy po błogosławieństwie kapłana, wznosząc swój pałasz, Kościuszko zawołał wzruszonym głosem:

— Daj Boże zwyciężyć lub umrzeć!

— Słyszysz matko jego przysięgę? — rzekła drżąca Tocia. — On ma inną teraz bogdanę, dla mnie wszystko się skończyło...

I padła krzyżem w gorącej modlitwie.

Ukryta w oknie była świadkiem uroczystości ogłoszenia Kościuszkę naczelnikiem narodu, a gdy wyruszył z miasta, co rychłej z matką wyjechała napowrót do Ihnatowic.

Żurowski po odebraniu listu rotmistrza popieszył do Zahajpola, pocieszając osamotnioną siostrę. Zachęcał ją do wytrwania i nadziei, że Bóg jej męża zachowa.

Wieść o zwycięstwie pod Raclawicami dnia 4 kwietnia obiegła cały naród, poszły za tem klęski i pomyślna obrona stolicy na przemiany.

Na początku października w Ihnatowicach oczekiwano nowych wiadomości z obawą; przybyła



właśnie pani Zarembina uradowana listem od męża, w którym jej donosił, że zdrów wraz z Raciborskim, że widział się z Kościuszką, ale teraz z pułkiem swoim zdala jest od niego.

Dnia 10 października zadęła straszna wichura, ciemne chmury pokryły niebo. Starzy ludzie wróżyli jakieś wielkie nieszczęście, jakoż w kilka dni przyszła straszna wiadomość, że dnia tego stoczoną została krwawa bitwa pod Maciejowicami i wojsko polskie poniosło klęskę, a Kościuszko ranny wraz z wielu innemi dostał się do niewoli. Temuż losowi uległ i Kniaziewicz. Chorążanka, gdy się o tem dowiedziała, zbladła jak marmur, oczy jej przygasły, całą noc przetrwała na modlitwie, a nazajutrz chodziła po całym dworze milcząca, wzdychając.

Orlewska przybyła tego dnia, złamana wiadomością o Kniaziewiczu. Obie przyjaciółki uściślały się w milczeniu, żadna łza ich boleści serca nie ulżyła.

Zarembina, trwawiona niepokojem, pospieszyła pierwszych dni listopada do Zahajpola, a w dni kilka na podwórzu z bryczką i sześciu końmi ukazał się Janusz, znowu bez mundur, tylko w kubraku.

Brygida na ten widok mało nie omdlała, zebrała resztę sił i wybiegłszy na ganek zawołała:

— Januszu gdzie pan? gdzie mój Stanisław?

— Żyje zdrów i wkrótce tu będzie. Mnie wysłał przodem, a tu mam list do pani.

Brygida upadła na ławkę w ganku, jak przed chwilą przestraszała, tak teraz radość odjęła

jej siły. Wróciła do pokoju i odczytała pomyślną wiadomość, że prawdę powiedział stary Janusz.

W parę dni nadjechał Zaremba, ale osmutniały i ponury. Powitał serdecznie żonę, uściskał syna, który do niego rączyny wyciągnął, ale pieszcząc go, z płaczem mówił:

— Dałem ci imię, mój chłopcze, naszego generała, a on daleko się odbił... już go pewno więcej nie zobaczę, ani uścisknę jego ręki!

— A poręcznik nasz Józef? — pyta żona.

— Biedaczysko niewiem czy żyje! Kula armatnia urwała mu prawą nogę. Leży w Warszawie, daj Boże żeby wyzdrowiał.

— Cóż teraz będziemy robili nieszczęśliwi, mój Stasiu?

— Ha! zawieszę szablę na kołku, a wezmę się do pług, moja Brygisiu! jak powiedział mi nasz kochany generał. Cóż tam się dzieje z chorażanką i z panną Teklą?

— Siedzą, mój Stasiu, w Ichnatowicach z rozpaczą w sercu, bo płakać nie mogą; a lzy jedne, co czyszczą serce z bólu i cierpienia.

Odtąd rotmistrz odetchnąwszy po trudach obozowych, oddał się gospodarstwu i miał w swym smutku i samotności tę pociechę, że odebrał list od Raciborskiego, iż żyje, zdrów zupełnie, choć kaleka. Prosi, aby siwka, którego Janusz przywiózł do Zahajpola, przyjął w darze na pamiątkę, bo już go sam nigdy nie dosiędzie. W dopisku jego żona przyrzekała, że latem będą się starali odwiedzić rotmistrzowstwo z dziatkami swemi, aby poznały małego Tadeuszka.

W Ihnatowicach żałoba: prezesowa z córką i panną Teklą siedziały zamknięte, nie przyjmując nikogo. Żurowski posmutniał, ale wyjeżdżał często w sąsiedztwo dla zebrania jakich wiadomości. Coraz smutniejsze nadchodziły. Wreszcie padła jak piorun wieść o wyjeździe króla z Warszawy i ostatnim rozbiorze kraju.

Prezes za przybyciem do domu wszedł blady, jak trup, do pokoju żony.

— Co ci to, Macieju? — zapytała wystraszona żona.

Żurowski nic nie odrzekł, tylko padł na kolana przed obrazem Bogarodzicy i zaczął coraz rzewniej płakać.

— Macieju, przez miłość Boską, powiedz, co się stało...

Wtedy szepnął jej tylko kilka słów ochrypłym głosem i padł krzyżem.

Zaremba, otrzymawszy tę wiadomość, nie odrzekł słowa, zdjął szablę z kołka, popróbował ją w zamachu, schował do pochwy, a potem, gwiżdżąc piosnkę obozową, wyszedł do stajni. Brygida z przestraczem śledziła jego kroki. W stajni długo rozmawiał z Januszem, ścisnął go, całował i wybuchnął głośnym płaczem. Nogi pod nim się ugięły i byłby upadł na wznak, gdyby go trębacz nie podtrzymał. Zaciągnął go na swoje derki i położył a sam poszedł do pani. Brygida już biegła z anodynami i spirytusami nacierać skroń i pulsa, gdy z wielkiem podziwieniem zastali go stojącego, z dzikim wzrokiem, ale nikogo nie rozpoznał. Z pomocą Janusza przeprowadziła go

do dworku i w łóżko ułożyła. Dał się powodować jak dziecko, słowa jednego nie wyrzekł, tylko osłupiałem spojrzeniem przerażał. Po kilku godzinach zaczął się uspokajać i zmęczony znać wysileniem zasnął twardo. Spał wbrew swemu zwyczajowi do piętnastu godzin, ale obudził się zupełnie bezsilny. Nie mógł się ruszyć, czuł ból w całym ciele i kościach. Po trzech dniach czulej opieki i starań żony podźwignął się z łóżka, zmieniony nie do poznania. Oczy zapadły, twarz wychudła, spojrzenie jakby zamdlone. Całą niemal zimę mało co mówiąc, siedział przed kominem, z podziwieniem Janusza, nie biorąc fajki do ust, tak ulubionej niegdyś. Dopiero z wiosną zaczął orzeźwiać się nieco, na św. Józefa napisał list do przyjaciela Raciborskiego z powinszowaniem i pierwszą wypalił fajkę. Jakaż to była radość dla pocziwej Brygidy i Janusza, gdy dawnym tonem rotmistrz zawołał:

— Brygisiu złota! podaj mi chłopca naszego.

A do Janusza:

Hej! kolego, dajno lulkę.

Zaszła jednak w jego sposobie życia wielka zmiana. Kładł się później, niż zwykle, modlił się na klęczkach, a żona i Janusz podsłyszeli nieraz, że płakał rzewliwie i coś sam z sobą długo rozmawiał.

Na Wielkanoc pierwszy raz siadł na swego kasztana, a potem objeżdżał siwosza darowanego. Kiedy zsiadł z niego i ucałował go w oczy, Janusz widział, że łzy gęste spadały rotmistrzowi na wąsy.

## XV.

Po wielkiej burzy wojennej nastąpiła głęboka cisza. Morski, nasz znajomy poseł wielkiego sejmu na wiadomość o wyjeździe króla Stanisława Augusta i ostatnim rozbiorze kraju wydał tylko jeden krzyk bolesny i padł nieżywy: pękło w nim serce. Kniaziewicz, wzięty po klęsce pod Maciejowicami, po dwuletniej niewoli przybył do Wojcieszkowa w Lubelskie, gdzie mieszkała jego macocha, którą jak matkę kochał.

Osiadł w futorze wśród gęstych lasów, a w samotności upiększał swoją siedzibę wiejską. Założył pełen smaku ogród, drogi powysadzał drzewami. Tak oddany pracy, marzył o uroczej bogdance, którą widział w Krakowie w pamiętnym dniu, kiedy Kościuszki dłoń uściskał po długim niewidzeniu.

W tym futorze zastał go Józef Drzewiecki, towarzysz broni i walki pod Maciejowicami. Serdeczne było powitanie dwóch przyjaciół i pługa rozmowa, po której Kniaziewicz powziął postanowienie niezmienne.

Opuścił futor, który ukochał, na zawsze — pożegnał tę, co mu od lat dzieciennych miejsce najczulszej zastępował matki i wraz z Drzewieckim ruszył do Krakowa.

Tu po kilkuletniem niewidzeniu ujrzał Teklę Orlewską, która przy swej stryjence mieszkała. Rzewne było ich powitanie: Kniaziewicz odkrył jej swój zamiar przedarcia się do legionów

piękna zawsze panna Tekla, lubo z bólem serca i załzawionemi oczyma, nie powstrzymała go w tym szlachetnym zamiarze.

W przeddzień wyjazdu rano w kościele Panny Maryi na rynku, przy bocznym ołtarzu, odprawiała się Msza święta. Siwy kapłan po jej skończeniu dał błogosławieństwo dwojgu klęczącym i relikwiarz do pocałowania.

Była to Tekla Orlewska i Kniaziewicz, którzy wobec Boga przyrzekli sobie wierność i że żadne z nich innych ślubów nie powtórzy.

Kiedy powstała ze stopni ołtarza dziewica, oblicze jej jaśniało szczególnym wyrazem rzewności.

— Będę ci wierną do grobu, mój Karolu, pamięć i wspomnienie twoje nigdy mnie nie opuści — wyrzekła wzruszonym głosem.

— Będę ci wiernym i nigdy cię niezapomnę — odrzekł Kniaziewicz. — Tu w tej świątyni przyjmij moje pożegnanie i ostatnie moje »bądź zdrowa!« z nadzieją, że Bóg nas połączy i da upragnione szczęście.

Orlewska ze stryjenką wróciwszy do domu, w modlitwie i łzach dnia następne przepędziła. Kniaziewicz z Drzewieckim opuścili dawną stolicę Jagiellońską.

Pisząc do swej Toci w tydzień później, opowiedziawszy szczegóły, zakończył temi słowy:

— »Tak więc, moja droga, choć nie zaślubiłam Karola, uważam się teraz związaną jakby ślubem, któremu pozostanę wierną. On mnie kocha, jam narzeczoną jego, może Bóg odmieni łzy moje na uśmiech wesela.«

Grobową ciszę w Ihnatowicach przerwał niespodziewany wypadek. Pierwszych dni wiosny, w drugiej połowie maja, nadbiegł pod wieczór zadyszany arendarz, donosząc prezesowi, że do karczmy zajechała jakaś księżna, ale pomieścić się ze dworem, ani wygody dla siebie znaleźć nie może.

Żurowski wdział więc kontusz co rychlej na codzienny żupan i pospieszył drogą do karczmy, przed którą stała podróżna karetka i bryka brocka ładowna.

W izbie karczmy brudnej, zakopcanej i dymnej robiono przygotowania do jej oczyszczenia i obicia dywanami: pod oknem siedziała dostojna podróżna, wachając co chwila z flakonika.

Żurowski już się dowiedział, że to była księżna Lubomirska, z domu hetmanówna Sosnowska, a zawdzięczając wiele tej rodzinie, rad był, że potrafi odsłużyć się jaką grzecznością.

— Mościa księżno! — rzekł, kłaniając się z uszanowaniem — zapomniałaś widać Wasza książęca Mość o staropolskiej gościnności i o wiernym służce domu Lubomirskich. Mój dworek niedaleko, czem chata bogata, tem i rada, ale znajdziesz Wasza książęca Mość równie jego wrota, jak i serca otwarte i chętne na przyjęcie tak znakomitego gościa.

Księżna żywo powstała, z ławki, okrytej dywanem, radość błysnęła na jej przybladłym licu, podała uprzejmie rękę prezesowi, który ją ucałował i wdzięcznie podziękowała, przyjmując ohotnie ofiarowaną sobie gościnność.

Jakoż niebawem upakowano napowrót w części wydobyte rzeczy, a księżna kazawszy karecie i bryce jechać do dworu, oświadczyła chęć przejścia się pieszo wraz z szanownym gospodarzem.

Żurowski uszczęśliwiony przyjęciem gościny, szedł z odkrytą głową, pomimo że go księżna prosiła, aby włożył czapkę. Prezes niby nakrywał podgoloną czuprynę, lecz wkrótce zdejmował rosgatywkę, narzekając, że wieczór ten nawet podczas bujnej rosy gorący i duszny.

Uwiadomiona wcześniej o przybyciu księżnej prezesowa, z córką oczekiwała na ganku i powitała nadchodzącą z uszanowaniem. Księżna przyjęła skromną wieszczkę, a dziękując uprzejmie za tak gościnne przyjęcie, udała się wcześniej na spoczynek.

Przygotowano dla niej dwa pokoje, dotykające sali środkowej. Wszedłszy do swej sypialni, prędko zrzuciła ubranie podróżne, a odprawivszy pannę służącą, zamknęła drzwi i jakby zmęczona usiadła na kanapce małej pod oknem.

— Spełniłam mój zamiar! Jestem tu — myślała sobie — i poznałam jego bogdanę przy której zapomniał o mnie!

Było to w roku 1798, w lat siedem prawie od pobytu Żurowskich w Międzyborzu. Panna Tekla, owa pieszczona Tocia, liczyła teraz rok dwudziesty czwarty życia, a jakkolwiek przeszła wielkie cierpienia, wdzięki jej w niczem nie ucierpiały i tąż samą pięknoscia, co dawniej jaśniały.

Oblicze zachowała tak młode, że spojrzawszy



nikt nie mógł jej więcej liczyć nad lat szesnaście lub siedemnaście: wiotkość w postaci całej pozostała.

Blask oczu jaśniał dawnem życiem, częściej wszakże rosły się łzami i zachodziły mgłą, przygaszając ogień spojrzenia.

Jedna tylko, ledwo znaczna rysa na czole w chwili głębszej zadumy czasem uwydatniała się; wyźłobiła ją praca myśli, pobudzanej bolem serca, co straciło nadzieję szczęścia.

— Prawda, że piękna — myślała dalej księżna — i mógł ją kochać, gdy mnie oddzieliło od niego na zawsze smutne przeznaczenie! Starajmy się bliżej poznać — może w jej towarzystwie znajdę ulgę biednemu sercu..

Tłum wspomnień ją otoczył; myślą przeniosła się do owych Sosnowic w Lubelskiej ziemi, gdzie pierwszy raz poznała Kościuszkę i pierwszy raz młode jej serce uderzyło gwałtownem uczuciem. Przed oczyma jej duszy stanął ów wielki dwór hetmański, do którego wjeżdżało się mostem i owa oficynka murowana, w której z siostrą starszą Katarzyną mieszkała pod opieką krewniaczki panny Karoliny Zenowiczówny. Komnatka nie wielka, ale gustownie urządzone, pełna kwiatów i woni. Stół dywanem nakryty, na nim książki i papiery i obok trzy krzesła, które zajmował Kościuszko z młodemi uczennicami swemi. Na kanapce siedzi panna Karolina, haftując na krosienkach, nauczyciel opowiada dzieje Grecyi, a gdy spotka pełne uczucia spojrzenie pięknej Ludwiki, rumieniec krasi

jego oblicze, zaczyna się jąkać i nie umie słów dobrać.

— Co ci to, panie Tadeuszu? — pyta dobrotliwa ochmistrzyni haftująca.

— Nic to, nic! — odpowiedział pomieszany, — zapomniałem nazwiska greckiego wojownika, o którym miałem właśnie mówić.

Panna Katarzyna uśmiechnęła się wtedy, a młody nauczyciel, niby przepraszał swe uczennice, całował i ścisnął drobne rączki najbliższej siedzącej Ludwini.

— Ach! — poszepnęła z cicha księżna, — były to jedyne chwile mego szczęścia w całym życiu.

Westchnęła boleśnie, opuściła głowę na piersi, a łzy zabłyszczaly jej w oczach...

Zdawało się jej w smutnym zadumaniu, że słyszy cichy szepł Tadeusza, jak wyznaje swoją miłość i namawia do ucieczki, malując wymownie całą przyszłość uroczą. Oblicze księżnej rozpromieniło się radością na to wspomnienie, ale wkrótce zasepiło się na nowo, gdy przypomniała sobie groźne oblicze ojca i wygnanie z Sosnowic tego, którego tak ukochała.

Całą pamiątką po nim zostały jego ręką sadzone w około dworu świerki i piękny park wonnych lip. Potem nasunęła myśl coraz smutniejsze obrazy, samotność w oficynie murowanej i łzy jej ciche, tajemne niepodzielane z nikim. I gdy ożywiała wspomnienia ubiegłe, stanęła postać jej narzeczonego, księcia Józefa Lubomirskiego, jej ślub i świetne wesele, na które wystąpił hetman z ca-

łym przepychem magnackim, a w lat kilka płacz i łkanie liczego dworu, gdy zwłoki zimne i martwe spoczywały na wspaniałym katafalku. I znów pozostała sama wdowa, ale teraz wolna i swobodniejsza.

Sława, którą Kościuszko okrył się w Ameryce, ożywiła w jej sercu dawne uczucie. Widziała go w Warszawie, kiedy jej mąż przedstawiał znakomitego generała jako dawnego znajomego. Ale Kościuszko w księżnie Lubomirskiej nie chciał poznać swej Ludwini.

— Jestem wolna teraz — mówiła do siebie — nie utraciłam wiele wdzięków, mam majątek, gdy on sam i opuszczony. Pojadę, ofaruję mu swą rękę, której nie odrzuci, jeżeli zbyt nie ukochał chorążanki.

To wspomnienie wywołało jej bolesne westchnienie.

— Trzeba zbadać bliżej wszystko... otwartością dojdę do celu.

O północy zaczęła lać ulewa: księżna rada jej była, bo Żurowski ani chciał mówić o jej wyjeździe.

Chorążanka po przybyciu księżnej do Ihnatowic zajęta wyręczeniem matki w przyjęciu, nie pomyślała, że to jest ta sama Ludwika Sosnowska, którą Amerykanin ukochał pierwszą miłością. Ale w wieczornej rozmowie, a szczególnie nazajutrz, z kilku słów ojca, odkryła tę wiadomość i zaczęła więcej uważać, że ją ściga nagle niespokojny wzrok księżnej.

Kościuszko wówczas już powrócił z Ameryki,

gdzie był wyjechał po wypuszczeniu z niewoli i osiadł stale we Francyi. Księżna niecierpliwa, żeby się dowiedzieć, czy istnieje jeszcze jaki stosunek pomiędzy nim, a rodziną Żurowskich, zapytała z obojętnem na pozór obliczem przy śniadaniu:

— Czy nie słyszałeś czego, mój chorąży, o generale Kościuszcze?

— Nic nie wiem, Mościa księżno! — odpowiedział spokojnym głosem — od czasu jego niewoli i wyjazdu do Ameryki, tyle wiem, co z gazet czytamy. Nikogo nie ma w naszych okolicach, coby miał bliższe stosunki z tym wielkim naszym bohaterem.

Księżna utkwiła wzrok badawczy w chorążankę, ale ta bez żadnego wzruszenia na obliczu, jakkolwiek żywiej jej serce uderzyło na wspomnienie ukochanego imienia, podawała jej konfitury własnego smażenia.

— Wasza książęca Mość, — rzekła z uśmiechem wdzięcznym, — nie możesz się pochwalić, że używasz małych przyjemności gospodyni wiejskiej w przyrządzaniu przysmaczków. My to je tylko szlachcianki mamy.

— Mój ojciec, — odpowiedziała poważnie księżna, — wyrósł na wojewodę i hetmana z prostego szlachcica, a mój tytuł, wierz mi, kochana panno chorążanko, oddałabym chętnie za jedną chwilę prawdziwego szczęścia...

Mówiła to głosem wzruszonym, a łzy błysnęły w jej oczach. Tocię rozbroiła temi słowy: spojrzała na nią pełnym współczucia wzrokiem.

Zrozumiała go księżna, bo po śniadaniu wzięła ją za rękę i przeszła do jej komnatki. Gdy były same, wyrzekła drżącymi usty:

— Nie chcę taić, kochana panno Tekło, że ja jestem ową Ludwiką Sosnowską, którą ukochał pierwszą miłością Kościuszko. To uczucie zrobiło go wygnańcem, ale dało mu sławę i głośne imię. Wiem, że ciebie kochał z równym jak mnie zapalem i to wiem — dodała ciszej — że cię jeszcze kocha.

— Mościa księżno, czy zasłużyłam na to, aby przygojone nieco rany serca mego na nowo otwierać i zakrwawiać?

I załkała rzewnie.

— Nie tego chciałam, moja droga Tekło, — mówiła księżna głosem pełnym łagodności — pragnęłam cię poznać i przyznam się, bo fałsz mam w obrzydzeniu, że umyślnie tę podróż przedsięwzięłam. Miłość jego, to zaszczyt dla każdej kobiety, bo to człowiek szlachetny i znakomity. Jestem wdową, w pożyciu małżeńskim nie doznałam szczęścia, bo oddałam rękę stosownie do woli ojca, który miał słabość, że pragnął stać zawsze w rządzie magnatów polskich. Umieć cenić niedolę drugich i twoje cierpienia, bom przeboleła wiele w życiu mojem zawodów! Daleką jest za zdrość odemnie. Ta, którą ukochał Kościuszko, godną jest poszanowania, ja pragnę twej przyjaźni, a może znajdziemy, choć małą chwilę szczęścia, gdy będziemy sobie o nim mówili.

To wyrzekłszy, wyciągnęła ręce do chorą-

żanki, która rzuciła się w jej objęcia i obie zakłyał cichym płaczem.

Ten uścisk księżnej, ujrzał, przechodząc przypadkiem Żurowski, odszedł na palcach do sypialni i w głęboką wpadł zadumę.

Księżna opowiedziała jej poznanie swoje z panem Tadeuszem, wzajemną miłość, a następnie, jak zmuszony był ich dom opuścić na zawsze. Tocią odkryła dzieje swego serca i pokazała wszystkie listy pisane do niej i do matki.

Odczytała je uważnie księżna, a zwracając chorążance, mówiła:

— Zawsze ten sam szlachetny i pełen znacznych uczuć!

Po czterodniowym pobycie opuściła Ihnatowice, dziękując uprzejmie gospodarstwu za tak miłe przyjęcie; a Tocię serdecznie ściskając, szepnęła z cicha:

— Masz we mnie szczerą przyjaciółkę.

Odtąd pisywały często do siebie: księżna, mająca szerokie stosunki, donosiła chorążance o ważniejszych wypadkach z życia Kościuszki i przeniesieniu się jego do Szwajcaryi, gdzie w Solurze osiadł stale przy Zeltnerze, przyjacielu swoim, otoczony miłością i uszanowaniem całej jego znacznej rodziny.

Zerwały się jednak w kilka lat te stosunki, gdy Tekla Żurowska, stosownie do woli ojca, oddała rękę Stanisławowi Chwalibogowi, skończywszy dwudziesty ósmy rok życia.

Rano w dzień ślubu po gorącej modlitwie, zanim włożyła godowe suknie panny młodej i wie-

niec mirtowy, napisała list ostatni do księżnej, rosząc go rzewnemi łzami, donosząc jej o swem małżeństwie i żegnając ją, równie jak wszelkie wspomnienia dawnej swej miłości.

Księżna odczytała go z głębokiem wzruszeniem.

— Teraz — rzekła do siebie — tylko mi przystało czuwać nad jego samotnością i sędziwym wiekiem.

## XX.

R. 1817—1839.

Upłynęło blisko lat dwadzieścia od chwili, gdy księżna Ludwika odwiedziła Ilnatowice, po powrocie pisała zaraz do Kościuszki list pełen uczucia, że pragnąc bohaterowi uprzyjemnić i osłodzić samotne dni życia, ofiaruje się czuwać nad jego sędziwemi laty: ale Kościuszko nie przyjął tej szlachetnej ofiary. Teraz w tęsknocie serca, zapragnęła chociaż raz go jeszcze zobaczyć. Wyjechała pod pozorem podróży do Włoch i zatrzymała się w Solurze w połowie maja 1817 roku. Nie spodziewał się takiego gościa generał, gdy odebrał bilet wizytowy, że księżna Lubomirska z domu Sosnowska, pragnie go odwiedzić.

Rzewne było powitanie księżnej i Kościuszki po czterdziestu trzech latach rozdziału. Starość na obliczu bohatera, wycisnęła w zmarszczkach i siwiźnie rękę swoją, ale zachowała oblicze nie

zmienione i spojrzenie pełne jeszcze młodzieńczego blasku.

Księżna, owa Ludwisia ukochana, świeża jak róża, kiedy liczyła szesnasty rok życia, teraz czynając sześćdziesiąty, zmieniła się wielce, nie zatrzymawszy żadnego śladu dawnego powabu, pomimo dostatków i staranności o pleć i podtrzymywanie wdzięków. Raz po powrocie z Ameryki Kościuszko, będąc na wieczorze w zamku królewskim, był jej przedstawionym przez męża, ale skromny i nieśmiały, ani spojrzął w jej oblicze, nie wyrzekł słowa, tylko się zdaleka z uszanowaniem ukłonił i spiesznie odszedł. Zachowywał więc w pamięci ową twarzyczkę cudnej dziewczycy to uśmiechniętą, to załzawioną. Teraz zaledwie mógł rozpoznać, że to ta sama Ludwika Sosnowska wojewodzianka, co zatliła w jego sercu tak silne uczucie, które go wyгнаło z ojczystej ziemi na długie lata. Ale wkrótce pogodził się ze smutną rzeczywistością, wdzięczny za pamięć, nie umiał dobrać wyrazów na podziękowanie. Księżna bawiła kilka tygodni w Solurze i codziennie widywała generała. Były to dni wielkiej radości dla sędziwego starca, bo myśl jego bujała i kąpała się w słodkich wspomnieniach młodości.

Odwiedzała go kilkakrotnie w jego mieszkaniu, i zawsze dziwiła się nad skromnem umeblowaniem, jak i sposobem jego życia. Nie miał służby, ani powozu, wyjąwszy kilku wierzchowców, darowanych mu przez współobywateli, których dozorował jeden stajenny. Czarny i gruby chleb, proste potrawy i szklanka piwa lub wina lekkiego



składały jego codzienną strawę, jak burka lub płaszcz płócienny okrycie wierzehne na stary surdut granatowy. W otworze od guzika zwykł zatykać różę, albo gwoździak, i zdawało się, że nie może się obejść bez tej ozdoby. Wiedziała o tem przywiązaniu do tych kwiatów Tekla Żurowska, przysyłając mu do Międzyborza doniczkę z różą czerwoną: teraz damy mieszkające w Solurze, ubiegały się na wyścigi w dostarczaniu mu nawet wśród zimy tych kwiatów, troskliwie hodowanych w pokoju. Posłanie jego składało się z twardego materacu, dwóch poduszek i lekkiej kołdry.

Letnią porą zwykł wstawać o godzinie piątej, a w zimie o szóstej. Po śniadaniu w towarzystwie rodziny Zeltnerów, udawał się do swego pokoju i pracował: około dziesiątej rano, wyjeżdżał konno, samotny, i umyślnie obracał drogę w ustronie odległe od gościńca, aby niewidziany przez nikogo, mógł podumać swobodnie.

Księżna wywiedziawszy się o sposobie życia i rozkładzie godzin dnia całego, tak się urządziła, ażeby mu w niczem nie przeszkadzać. Śmiała się serdecznie, gdy właśnie w czasie jej pobytu zdarzyło się, że Kościuszko, szczególnie roztargniony, siadłszy na konia, zapomniał wziąć ze sobą pieniądze. Ubodzy zwykle oczekiwali go na drodze, którym rozdzielał jałmużnę. Koń, tak był przyzwyczajony, że na widok ubogiego stawał, i dopóty nie ruszył, dopóki nie zobaczył, że miał doręczony datek. Teraz właśnie, zaledwie Kościuszko opuścił podwórze, zaszedł mu drogę żebrak; szuka pieniędzy, nie ma; chce zwrócić konia, ale ten,

jak mur stoi, nie pomaga ani spicruta, ani ostrogi. Mówi więc do żebraka:

— Mój przyjacielu! udaj przed moim koniem, żeś odebrał jałmużnę, bo ja na przechadzkę nie pojadę, a sam przyjdź do mnie w południe, to wsparcie swoje dostaniesz.

I wyciągnął rękę do nadstawionego kapelusza: biedny się uklonił, a koń dopiero był posłuszny swemu jeźdźcowi.

Kiedy w poufnej rozmowie księżna wspominała o jego samotności, Kościuszko odrzekł z westchnieniem:

— Przypomniał mi ją rzewnie przed paru laty pan Jullien. Przybył tu w towarzystwie syna swego i młodego Amerykanina Mortona. Zaprosiłem ich raz z moim przyjacielem Zeltnerem na przechadzkę do lasku St. Verena, który pani tak lubisz i gdzieśmy byli. Był to piękny, jesienny wieczór, wiatr chwilowo zrywane listki rozwiewał. Jullien zadeklamował wtedy mały wierszyk Arnaulta, którego treść dziwnie odbiła się w mem sercu. Nie pamiętam całego, ale ten tylko ustęp: „Zerwany z pnia twego listku biedny, zeschny listku, gdzie podążasz? Ja sam tego nie wiem... burza dęb złamała, który był jedyną moją podporą; wiatr mną pędzi to w doliny, to w góry, a biegnę tam, dokąd leci i liść róży i liść laurowy“. Jakieś smutne przeczucie szepnęło mi wtedy, że na obcej ziemi skończę smutne życie i nie mogłem się od łez powstrzymać. \*)

\*) Julien w dziełku swoim p. n. „Notice biographique sur Thadé Kościuszko“ wspomina o tem zdarzeniu.

Księżna, widząc głębokie wzruszenie starca, odwróciła jego uwagę rozmową o Polsce i znajomych mu osobach. Widząc go w weselszem usposobieniu nazajutrz przy wieczornej pogadance, chcąc wydobyć z niego, czy też nie zapyta o tę, którą pragnął poślubić, przypomniała kwatere jego w Międzyborzu, kasztelanową Morską, Bejzymów, księżnę Sapieżynę i doktora Sztaken-smitta, ale generał milczał uporczywie, westchnął tylko boleśnie i odwrócił głowę.

Ostatniego wieczora, kiedy księżna miała nazajutrz rano opuścić Solurę, Kościuszko prosił ją, jakby przewidując bliski zgon, aby mu co na pamiątkę zostawiła. Księżna spełniła jego życzenie, przesyłając mu z Luzanny złoty pierścień z napisem: »przyjaźń enocie«, ale ten dar znalazł Kościuszkę na śmiertelnych marach. Umarł dnia 15 października 1817 roku. Księżna, na wiadomość o jego zgonie, wróciła co rychlej do Solury, a przywdziawszy grubą żałobę, towarzyszyła pogrzebowemu obchodowi, i już do końca życia swego nie zrzuciła żałoby.

W końcu maja 1818 roku, wyjechał z Willanowa Julian Ursyn Niemcewicz do Odessy. Jeden z noclegów wypadł mu na Wołyniu w Ratnie, gdzie w starym pałacu przemieszkiwała wojewodzina Sosnowska, matrona licząca sto trzy lat. Dotknięta ślepotą, pomnąc dokładnie żywo wszelkie wspomnienia dawne, pamięć nowych zupełnie utraciła. Sypiała teraz do jedenastej godziny rano, piła ulubioną kawę w łóżku, poczem wstawała i szła do pokoju, zasiadając do robienia węzełków.

Mało co kosztowała obiadu, ale wieczerzę jadła z nadzwyczajnym smakiem i ochotą. Rozmowa przytomnych, gra w bilard, każdy gwar i hałas, bawił ją i rozrywał. Kiedy mówiono o świeżych lub niedawnych wypadkach, milczała, bo wszystko, co było obecnością, już w jej myśli zamarło, ale każde wspomnienie z lat dawnych, ubiegłych, znajdowało struny w jej sercu i pamięci, które musiały się odezwać. Nad sędziwą starością matki, czuwała jej młodsza córka Ludwika, znana nam już księżna wdowa Lubomirska. Kiedy Niemcewicz przybył do Ratna, zaprosiła go do pałacu, ażeby zobaczył jej matkę: pragnęła i sama odnowić dawną z nim znajomość\*).

— Miło mi, że widzę pana — mówiła przy powitaniu — przyjaciel Kościuszki wszędzie znaleźć musi gościnne przyjęcie.

— Mościa księżno — odrzekł sędziwy poeta — lży mi tylko po nim zostały i bolesne wspomnienie. Tyle lat przebyliśmy razem w Polsce i Ameryce, w niewoli i swobodzie a odmówiło mi niebo tej wielkiej pociechy, ażebym mógł osłodzić ostatnie chwile jego życia.

— Pragnęłam i ja poświęcić mu swe usługi w tej samej myśli — mówiła księżna — ale ich nie przyjął! O! nigdy nie zapomnę tej chwili, gdym go ostatni raz widziała. Rok temu prawie, pożegnałam go wieczorem: rano wyjechałam z Solury: o pół mili na skrócie drogi, na małym

---

\*) J. U. Niemcewicz: „Podróże historyczne po ziemiach polskich“. Petersburg 1859 r.

wzgórku, oczekiwał przybycia mego, aby się pożegnać. Był to ostatni uścisk jego ręki! Jużem go nie zobaczyła więcej!

Głos jej drżący ucichł, łzy zalśniły w oczach.

Niemcewicz wprowadzony na salę, ujrzał niewidomą wojewodzinę, która na wspomnienie jego nazwiska, zaraz przypomniała sobie Kościuszkę, jego starania o rękę Ludwisi, gniew męża hetmana i inne ówczesne wypadki. Wspomniała, jak się bawiła wesoło, gdy grano pierwszy raz komedię Niemcewicza »Powrót posła« i jak sam król Jegomość śmiał się radośnie. Gość okryty siwizną, smutnie opuścił głowę na piersi, przypominając lata pięknej swej młodości, wielkie i uroczyste chwile narodowe, które wyrwały się niestartemi głoskami w księdze dziejów przeszłości! Po herbacie opuścił pałac osowiały i długo dumał, z boleścią przechodząc wspomnienia, które, jak pszczoły na wiosnę, coraz więcej się roiły. Tak przebył większą część nocy. Przed opuszczeniem tych miejsc przyszedł nazajutrz rano z pożegnaniem do księżnej Lubomirskiej, przyjęła go w ranym negliżu.

— Dziękuję panu za łaskawą pamięć: matka jeszcze śpi, bo wiesz zapewne, że późno wstaje. Kiedyż się znowu zobaczymy?

— Może księżna pani raczy odwiedzić Warszawę, ja tam stały mieszkam.

— Tak rychło wątpię, czy przyjadę do stolicy; matka moja coraz częściej teraz zapada, muszę czuwać nad ociemniałą i samotną; to mój

obowiązek, gdy wszystko zresztą, com ukochała, w grobie spoczywa!

Niemcewicz ujął jej zawsze białą i kształtną rękę, i rozrzewniony, patrząc na oczy zapłakane, pocałował i odszedł. Wkrótce opuścił Ratno i smutną okolicę piasków, przerosłych sosniną i błót rozległych.

## XXI.

Zwłoki zgasłego bohatera nabalsamowane w Solurze, przewiezione do Krakowa, złożono w kościele św. Floryana na Kleparzu. Dnia 19 czerwca 1818 roku uroczyście przeniesione zostały do katedry na Wawelu, gdzie Jan Woroniewicz, ukończony nasz wieszcz i kapłan, odprawił egzekwie i pełnem namaszczenia słowem, uczcił pamięć wielkiego męża.

W dwa lata postanowiono w rocznicę śmierci zacząć sypanie mogiły pod Krakowem, wówczas stolicy małej Rzeczypospolitej. Ze wszystkich stron Polski towarzysze broni, przyjaciele i ci, co umieli cenić zasługi zmarłego wodza, bez różnicy stanu, płci i wieku, wszystko się zbiegło na ten obchód uroczysty dnia 15 października 1820 roku.

Z pól Raclawickich, na których pierwsze odniósł zwycięstwo, jako wódz powstania 1794 r., a w niem świetnie się odznaczyli kosynierzy krakowscy, przywieziono ziemię, co posłużyła za pierwsze nasypisko mogiły. Na głównem miejscu tej krwawej walki, w najważniejszym stanowisku

ubogi garncarz założył piec do wypalania naczyń; gdy przybyli, kłopotali się, że właśnie z tego miejsca powinni wziąć ziemię, garncarz dowiedziawszy się o ich trosce i celu, oddał swój piec jedyny, sam go rozwalil i pomógł do nakopania ziemi.

Rano odgłos wszystkich dzwonów kościelnych zapowiedział uroczystość. Wielki Zygmunt z wyniosłej wieży katedry wawelskiej górował potężnym głosem swoim nad wszystkimi, zdawał się jęczeć żalobliwie nad zgonem tego, co mu dzisiaj wdzięczność narodowa wzniesić miała pomnik, trwalszy nad spiżowe posągi.

Jeszcze brzmiał głos jego rzewny i smętny, gdy na przedmieście Zwierzynieckie przyjechał wóz pełen ziemi raclawickiej, otoczony dawnymi wojownikami, co walczyli pod wodzą Kościuszki, a za nim szło grono mężczyzn i niewiast. Na czele postępował siwy, jak gołabek, starzec, obok równie niemal sędziwa matrona. Byli to małżonkowie Żurowscy, za nimi szła Tekla, córka, teraz zamężna Chwalibogowa, która wiodła za rękę dwunastoletniego syna Józefa, wraz z Zarembą, jego żoną i blisko dwudziestoletnim Tadeuszem, jedynakiem swoim.

Franciszek Paszkowski, generał i przyjaciel Kościuszki, przemówił do zebranych, przypominając jego żywot i zasługi. Stanisław hrabia Wodzicki, prezes senatu Rzeczypospolitej krakowskiej, pierwszą taczka raclawickiej ziemi pokrył urnę kamienną, w której złożono opis założenia tej mogily.

Huk dział i salwy z ręcznej broni milicyi krakowskiej zwiastował wszystkim uroczystą chwilę.

Zebrani całym tłumem rzucili się do tacek, podług wskazówek dozorujących, sypiąc ziemię, wznosili podstawę mogiły. Kiedy po kilkugodzinnej pracy, uderzyła chwila spoczynku, każdy podążał w swoją stronę, do kółka swego, koczującego pod pogodnem niebem.

Prezesostwo Żurowscy zasiedli przy próżnym wozie, a stary kredencierz Walenty, pomimo sędziwego wieku, dobywał z krubki podróżnej zapasy żywności, kiedy od mogiły, pchając swe taczki, zbliżyły się dwie postacie. Niewiasta poważna wiekiem i grubą żalobą, i starzec pochylony już mocno, ocierając pot z uznojonego czoła.

Zaremba pierwszy wykrzyknął:

— To nasz doktor z Międzyborza! — a prezes Żurowski zawołał:

— To nasza księżna!

Jakoż nie omylił się, była to księżna Lubomirska i poczciwy Stakensmitt, którzy z dalekich stron kraju, spotkali się przy jednej pracy. Żurowscy zaprosili obojga do swego grona. Księżna powitała wszystkich uprzejmie, a Chwalibogowej podała rękę i uścisnęła serdecznie.

Skończyły się pierwsze dni obchodu, znajomi nasi opuścili Kraków.

Z klasztoru panien Norbertanek na Zwierzyniecu, po rannem nabożeństwie wychodziły codziennie przez całe lato jesień, do pierwszego śniegu dwie zakonnice, które taczkami woziły ziemię na coraz wyższą mogiłę. Była to z siostrą za-



konną Tekla Orlewska, która wstąpiła do zakonu Norbertanek reguły św. Augustyna, gdy zaszła w lata, a narzeczony jej Kniaziewicz, najpiękniejszą młodość poświęcił usłudze Ojczyzny. Wierni pozostali swej przysiędze, wykonanej w kościele Panny Maryi w Krakowie przed dwudziestu paru laty: Orlewska przywdziała suknie zakonne, Kniaziewicz osiadł stale w Paryżu i umarł bezżenny.

Kwaśniewski zginął w Hiszpanii przy szturmie do Saragossy, pod dowództwem Chłopickiego; Potocki w kampanii 1812 r. Na dwa lata przedtem szambelan i staroście Kozięgłowski umarł w szpitalu św. Rocha w nędzy, niedostatku i opuszczeniu, a poczciwy doktor Stakenszitt po powrocie z Krakowa wkrótce zakończył życie w Międzyborzu.

Raciborski po śmierci rodziców żony zamknął sklep w Warszawie, sprzedał kamienicę i kupiłszy wioskę na Podlasiu, przeniósł się do niej z żoną i dwojgiem dzieci. Zaremba wysłał syna do stolicy Królestwa Polskiego i umieścił w szkole podchorążych; w chwili radosnej wiadomości, że ukochany Tadeusz awansował na podporucznika do 4-go pułku piechoty liniowej wojsk polskich, zachorował i umarł. Małżonka przywiązana, niedługo go przeżyła, mając tę wielką dla serca pociechę, że zakończyła życie na ręku ukochanego syna. Księżna Ludwika Lubomirska już spoczywała w grobie.

W pierwszych dniach października 1830 r., zachorowała ciężko, owdowiała pani Tekla z Żurowskich Chwalibogowa. Nadziei ratunku nie da-

30 —  
45829/7766.

wali doktorzy. Przy łóżku umierającej siedziała w zakonnem ubraniu Tekla Orlewska, która na wieść o śmiertelnej chorobie swojej przyjaciółki, porzuciła samotną celę w klasztorze Norbertanek krakowskich i przybyła przyjąć jej ostatnie tchnienie... osłodzić ostatnie godziny życia.

— Którego to dziś? — zapytała chora.

— Dziś jest czternastego, — odrzekła siostra Tekla, patrząc w kalendarz.

— A więc jutro moja Tekluniu, zakończę moje cierpienia.

— Dlaczego tak mówisz, moja Tociu?

— Bo jutro rocznica jego zgonu i tam w wieczności połączą się nasze dusze.

Mówiła to spokojnym głosem umierająca i z przekonaniem religijnem.

— Teraz podaj mi pudełko. Widzisz Tekluniu, to też sama piękna czara, którą wyrobił w Międzyborzu i przysłał w darze dla mnie przez poczciwego rotmistrza. Patrz! to jego cyfra T. K.

To powiedziawszy, z ożywionem obliczem przycisnęła ją do ust swoich zsiniałych.

— Weź to i zachowaj moja droga. Listy jego oddałam memu Józiovi. Czekam i czekam na jego przyjazd daremnie.

Nazajutrz, siostra Tekla podług żądania chorej odmawiała modlitwy za umierających. Przybyły proboszcz miejscowy, udzielił po spowiedzi świętych sakramentów. Chciała pozostać samą ze swą przyjaciółką tylko. Rodzina cała opuściła sypialną komnatę.

etc.

— Moja Tekluniu, — mówiła coraz cichszym głosem — zapal gromnicę i podaj mi w rękę.

Zakonnica spełniła jej żądanie.

— A teraz, módl się gorąco za zbawienie moje i polecaj duszę moją Bogu! Czuję, że życie ucieka! Ratuj mnie Tadeuszu!... Tekluniu!...

Wypadła gromnica ze skostniałej ręki i zgasło tak też zarazem jej życie.

W tej chwili zaturkotała bryczka na podwórzu. To jej syn Józef przybiega, a widząc martwe zwłoki ukochanej matki, pada na kolana, oblewa je gorącymi łzami i omdlałego wynoszą.

Żurowski przeżył jeszcze blisko lat trzy córkę swoją. Pomimo, że liczył około lat 90 wieku, zachował pamięć i czerstwość. Kiedy wnuka swego komu przedstawiał, zwykł po dawnemu zawsze mówić:

— *Hoc loco*, mam honor Mości Panie, prezentować moją partykulkę.

Obchodził złote wesele z ukochaną swoją pannienką. Umarł w r. 1833 i w tymże roku zgasła jego małżonka, nie mogąc przeżyć tak bolesnej straty!

K O N I E C.

---

NAKŁADEM WYDAWNICTWA „NOWEJ REFORMY”.